TYGODNIK ŁÓDZKI

miasto odgłosy

rok VI.
Łódź, 7. IV. 63.
Nr 14 (266)
Cena zł 1.—

STANISŁAW KASZYŃSKI

Nad (I) pięknym modrym Dunajem

Przy wejściu do dawnych apartamentów cesarskich siedzi nad stertą pocztówek i albumów starszy wytworny pan o ujmującym spojrzeniu. Jestem pewny, że tę twarz gdzieś już widziałem, chwileczkę, muszę się skupić, by przypomnieć sobie jego nazwisko, rangę, jego pochodzenie i poglądy. Ależ tak, to przecież nasz dobry znajomy z literatury i pamiętników: Lam, Chłędowski, Bałucki, Rittner. Mój Boże, tyle rzeczy uległo zniszczeniu, z potężnej monarchii naddunajskiej — jeszcze przed I wojną światową trzeba było jechać z Wiednia do jej granic bite dwa dni — pozostał skrawek terytorium, a ten pan zachował się w całej swojej egzystencji jak zasuszony liść w rzewnym sztambuchu. To mój pierwszy spacer po tym mieście, jeszcze nie rozeznaję się dokładnie w uroku i sensie podobnych realiów, nie czuję pod naskórkiem fenomenów cywilizacji rzeczywistego tętna miasta i ludzi, niemniej już się domyślam, co tu się ukrywa. Tymczasem zbliżam się do stolika i wskazuję na kolorową odbitkę sędziwego jowialnego starca z sumiastym wasem i bokobrodami. Chcę kupić ten kontrefekt i przesłać do Łodzi pewnemu redaktorowi, niech wie, że i ja poczułem na tym bruku słabość do b. Najjaśniejszego Pana. Mój gest, zdecydowany, poczciwy, wywołuje szczery odruch radości. Podaję monetę, uśmiechamy się życzliwie, przyjaźń zawarta. Dopiero później dowiedziałem się, że Franciszek Józef, choć czule przechowywany w pamięci i sercu odchodzącego pokolenia, jest hasłem czy symbolem dość uciążliwym dla II Republiki. Jego cień, przesuwający się jeszcze nad tą ziemią, przede wszystkim nad tym miastem, wywołuje kłopotliwe skojarzenia. Rozpętała się zatem burzliwa dyskusja w austriackim parlamencie, kiedy pogrobowcy czy może tylko niezłomni entuzjaści Cesarza wystąpili z projektem przeniesienia pomnika monarchy z dziedzińca szkoły wojskowej do centrum miasta. Zapadła salomonowa decyzja. Ustawiono władcę w szarym mundurze piechura w tak dyskretnym punkcie parku, że jedynie instynkt procesarski zdoła zaprowadzić cudzoziemca przed ten majestat. Nie pozwolono również osiedlić się bodaj ostatniemu z rodziny Habsburgów, Rudolfowi. Okazuje się, że koronowani osobnicy i ich potomkowie są niebezpieczni i to nawet, gdy przebywają już z Tamtej Strony. I jak tu nie wierzyć w duchy.

Co krok kościół, muzeum lub pałac. W tym oto domu mieszkał poeta Metastasio, dla tej świątyni Schubert skomponował oratorium, w tym hotelu zatrzymywał się Richard Wagner, a do tej kafejki zachodził przez wiele lat Peter Altenberg, subtelny filozof i kronikarz — poeta dawnej świetności Wiednia. 437 pomników, 322 tablice pamiątkowe, 70 zabytkowych studni, wieki kultury utrwalone w kamieniu, marmurze, drzewie. Co za rozrzutność i pasja dokumentacji, co za oszałamiająca koncentracja historii, ten tłum zapomnianych i stale żywych znakomitości, które związały się z tym miastem, w jego murach pozostawiły lata triumfów i klęsk, swym trudem i talentem rozszerzyły wyobraźnię ludzką, narzuciły piętno teraźniejszości. Nie tylko zresztą dochowały się takie przekazy ciągłości dziejów. Mijam Plac Michała, szyld na piwiarni: założona w Roku Pańskim 1711, parę metrów dalej Apteka Dworska z XVII wieku. Kilka ulic dalej jest i starsza, 400 lat z okładem. Bagatela! Nie chodzi bynajmniej o karczmę czy pigularnię, uderza refleksja, że w pewnych szerokościach geograficznych można było niezakłócenie uprawiać sztukę, rzemiosło, handel. Bogacić się, śpiewać biboszowskie kuplety przy „Heurigerze" (wino do dwóch lat) tańczyć walca, chodzić na operetkę i przez dwa pokolenia oklaskiwać tego samego monarchę. A i obecnie nie ma tu większych powodów do narzekań — perspektywa tzw. „cudu gospodarczego" kołysze upojnie, drażni ambicje i nadzieje. To jest dzień dzisiejszy, ale ja idę po tropach wczorajszych, które są wyraźniejsze. Cała ta spuścizna

Dalszy ciąg na str. 6

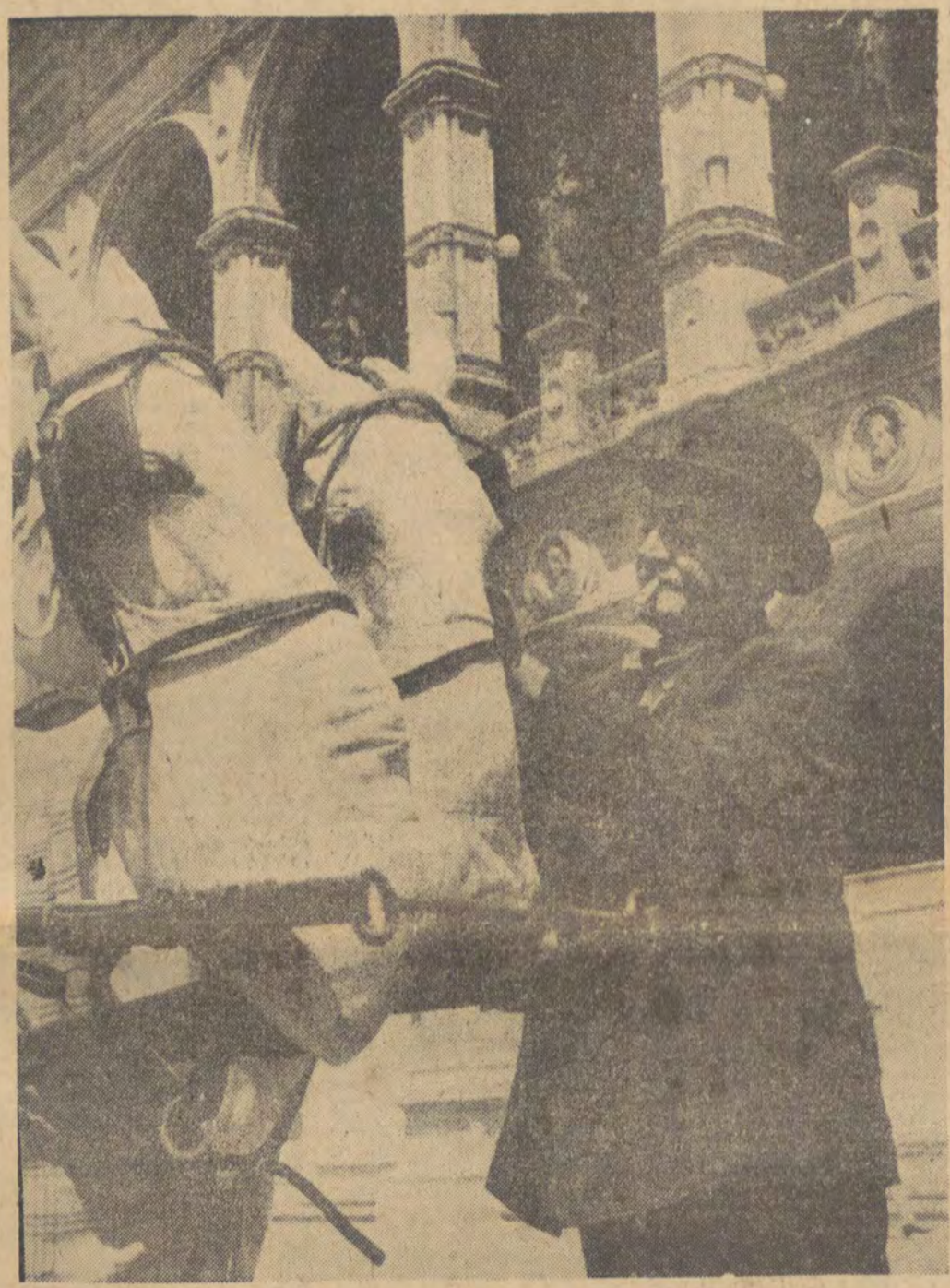

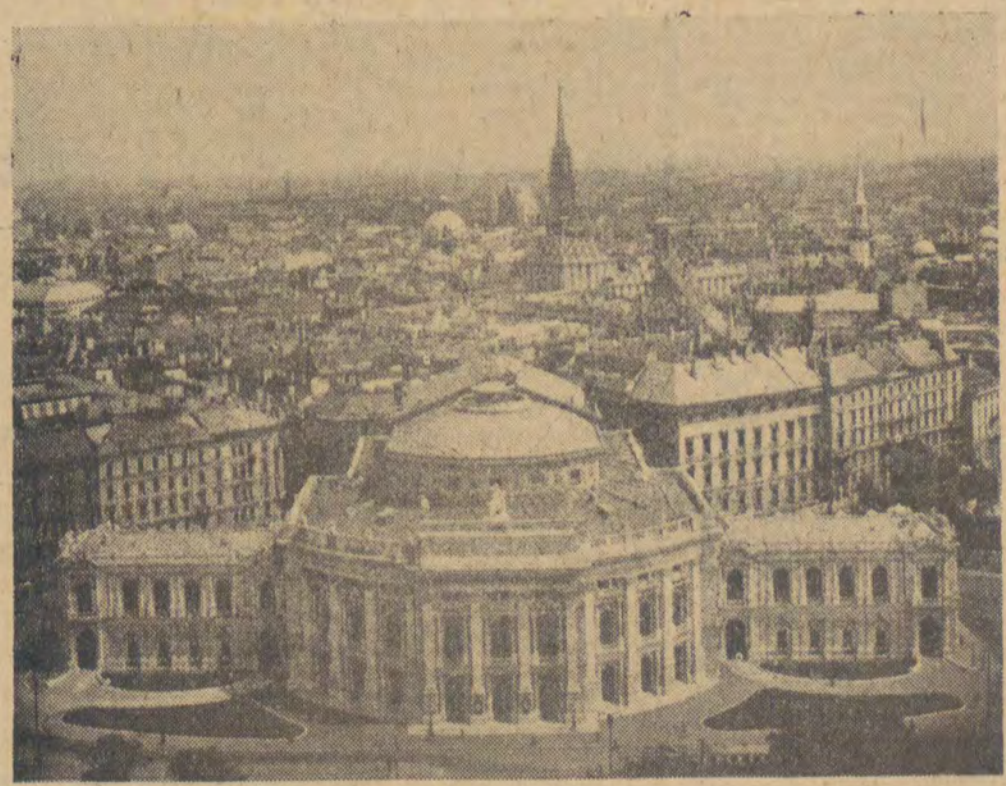

Zdjęcie u góry: wiedeński dorożkarz przed Operą. Zdjęcie u dołu: Burgtheater, na dalszym planie Katedra św. Stefana

WALDEMAR UCHMAN

Sąd kapturowy zamiast czynów

I znów śmielej wygląda słoneczko, a zasiedziały przez całą zimę w domu obywatel rozgląda się — gdzie by tu pierwszej cieplejszej niedzieli wypuścić się na tzw. łono przyrody? Rozgląda się i co? I nic. Kto ma bardziej wypchany portfel wali na Piotrkowską 104 do Sport-Touristu i funduje sobie Rumunię, Jugosławię czy Bułgarię. Ale jeśli ktoś nie ma, albo nawet zafundował sobie Złote Piaski i 30 stopni w cieniu w maju, to co ma robić z resztą lata? To samo pytanie stawialiśmy już rok temu na łamach „Odgłosów". Ostatnio pantoflową pocztą otrzymaliśmy odpowiedź.. Odpowiedź, że aż ciarki przechodzą. Bo oto kruszymy kopie, żeby sobie kilkaset tysięcy łodzian odetchnęło po pracy nieco lepszym niż w Łodzi powietrzem, a okazuje się, że mieszamy się w nieswoje sprawy, uczyniono z nas niemal przestępców.

Owa pantoflowa poczta doniosła nam, iż ostatnio zjechali do Łodzi spece od turystyki z warszawskiego PTTK i sypnęli gromami na „pismaków" śmiących wkraczać w zaklęte rewiry turystyki. Wiadomo, że jak się źle dzieje, winni są ci, co piszą.

W wielkiej tajemnicy toczył się widać ów sąd kapturowy i ściśle tajne rzeczy musiał omawiać, jeśli nawet najwyższej władzy turystycznej w Łodzi czyli ŁKKFiT na niego nie proszono. Czyżby i tę instytucję uznano za niegodną dopuszczenia do PTT-kowskich tajemnic? No cóż, nie nasza to sprawa. Naszą sprawą natomiast jest wyjaśnić, że prasa ma prawo interesować się wszystkim co społeczne. Zwłaszcza wtedy gdy coś dzieje się źle.

Dosyć jednak rozwodzenia się nad tym, że PTT-K robi co do niego nie należy, zamiast zająć się tym co do niego należy. Ostatecznie prawdą jest, że w turystyce coś się dzieje, bez specjalnej zasługi PTT-K.

CO, GDZIE, ZA ILE?

Przede wszystkim zostanie wreszcie spełniony postulat podnoszony przez łodzian, a w ubiegłym roku konsekwentnie wysuwany wielokrotnie przez „Odgłosy" — Łódź otrzyma Turystyczny Ośrodek Informacyjny z prawdziwego zdarzenia — taki jakiego oczekiwaliśmy przez lata od PTT-K i jakiego Towarzystwo nie było w stanie stworzyć. Jeśli w ostatniej chwili coś nie „nawali", ośrodek ten otrzymamy w lokalach gdzie obecnie mieści się Miejski Ośrodek Informacji i wypożyczalnia sprzętu turystycznego PTT-K.

Miejski Ośrodek Informacji zajmujący się głównie zbieraniem rzeczy znalezionych ma aż dwu dublerów — kolej i tramwaje, które też zbierają owe rzeczy. Nawet na dobre wyjdzie łodzianom jeśli rzeczy znalezione zmagazynowane będą w jednym punkcie, nie w trzech.

Obecnie opracowuje się już plany finansowe dla owego ośrodka i jeszcze przed latem zacznie się działalność. Jak będzie pracował i czy spełni swe zadania — trudno dziś wyrokować. W kraju wzorów nie ma, istnieje od niedawna w Warszawie tego typu ośrodek centralny a z wojewódzkich nasz będzie bodaj pierwszym i dopiero w praktyce dopracuje się własnych metod. Teraz można mówić jedynie o zamierzeniach i perspektywach.

A więc najważniejsze, że taki ośrodek w ogóle powstaje, gdyż dzięki niemu będzie wiadomo wreszcie dokąd wyjechać i co nas tam będzie czekało. Ową wymarzoną przez łodzian informację o-

Dalszy ciąg na str. 2

Sąd kapturowy zamiast czynów

Dalszy ciąg ze str. 1

środek otrzyma z dwu źródeł. Będzie on dysponował własnymi terenowymi ośrodkami informacji. Stworzone one zostaną przy różnych instytucjach zajmujących się w jakimś stopniu turystyką. Będą więc powołane takie ośrodki przy ZMS, ZSP, w miastach powiatowych itp. i zaczną na bieżąco informować o tym, co w danej chwili mogą zaoferować łodzianom. Tyle z własnego województwa. O innych ośrodkach wypoczynkowych w kraju codziennych informacji dostarczał będzie Łodzi Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej w Warszawie.

Dzięki takiej organizacji (skończy się wreszcie błaganie (bezskuteczne) łódzkiego PTT-K o informacje: gdzie można wynająć domek, i błagania o zarezerwowanie domku czy też łóżka w stanicy. Bo — choć tego dotychczas w planach nie uwzględniono — życie zmusi ośrodek do zajęcia się sprawami rezerwowania noclegów. Osiągnięcie tego będzie wielką wygodą dla Łodzi, zaś satysfakcją dla naszego skromnego pisma, które wbrew sarkaniom pesymistów odważyło się wystąpić o stworzenie właśnie takiego ośrodka.

Jeśli się powie A, trzeba będzie powiedzieć i B. Jeśli zostanie uczyniony pierwszy krok w dziedzinie ułatwienia

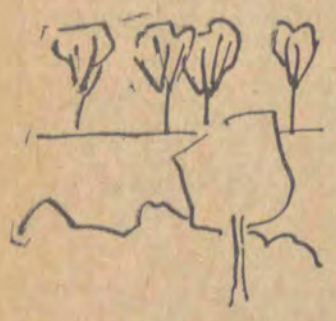

łodzianom wyjazdów na tzw. zieloną trawkę, czyli jak kto woli — na weekendy, to zostaną uczynione następne. Wydaje się np. konieczne skoordynowanie w jednych rękach dyspozycji miejscami noclegowymi dla turystów. Przyniesie to i korzyści materialne i organizacyjne. I może kiedyś życie zmusi nas do miłego stwierdzenia, iż Łódź już nie jest turystyczną Polską B? Oby!

Ale to kiedyś — dziś jeszcze nie jest tak różowo. Ot choćby drugi problem, obok owego ośrodka podnoszony już kilkakrotnie przez nasze pismo. Sprawa przyzwoitej mapy — informatora omawiającej walory turystyczne naszego województwa. Od czasu kiedy pisaliśmy po raz pierwszy o tej palącej dla turystów sprawie nawet Łowicz zdążył wydać taką mapę. Ci z Łodzi, którzy mogliby coś zdziałać wciąż wzdragają się przed trudnościami jakie ewentualnie mogliby napotkać starając się o wydanie owej mapy. Jak wielką będą te trudności nikt nie potrafi powiedzieć, gdyż nikt dotychczas, prócz naszej redakcji nie zdecydował się podjąć starań o tę niezbędną dla każdego wyjeżdżającego mapę. Co prawda swego czasu, prawie przed rokiem, przewodniczący WKKFiT, p. Okoński zapewnił szerokie grono odpowiedzialnych ludzi zebranych na dyskusji o turystyce w naszej redakcji, iż wydanie takiej mapy nie jest wielkim problemem i obiecał zajęcie się tą sprawą, zobowiązał się nawet przygotować kilka egzemplarzy map z zaznaczonymi miejscami campingowymi, ale skończyło się na obietnicach i dotychczas brak jest choćby owej prowizorki. ŁKKFiT mniej obiecywał lecz troszeczkę już uczynił. Przygotowuje on mianowicie wspólnie z Wydziałem Kultury Prez. RN m. Łodzi plan miasta, na którym będą zaznaczone trasy atrakcyjne z punktu widzenia turysty.

NIE TYLKO OPALANIE SIĘ

Szczycimy się, iż w Łodzi jest kilka ośrodków tzw. wczasów niedzielnych dysponujących siaką taką wodą i problematyczną zieloną trawką. Ale właściwy odpoczynek po pracy nie polega na całodziennym wylegiwaniu się i obżeraniu kotletami z musztardą. Do regeneracji sił potrzebny jest też ruch. I w wyniku osobistej interwencji przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi E. Kaźmierczaka przydzielono na zakup sprzętu sportowego dla owych ośrodków w Łodzi 250 tys. zł. Za owe 250 tys. zostaną zakupione dla „Stawów Jana", Arturówka i Parku i Maja leżaki, komplety do brydża, zabawki dla dzieci, sprzęt sportowy (każdy z tych ośrodków otrzyma m. in. 50 kompletów do siatkówki). Każdej niedzieli będzie tu także prowadzona przez fachowców propaganda różnych dyscyplin sportowych od oszczepnictwa i zapaśnictwa po propagandowe przejażdżki końmi klubu jeździeckiego.

Tak więc trochę sprzętu sportowego dla umilenia niedzieli już mamy prawie pewne. W dalszym ciągu jednak nikt nie decyduje się na obiecanie nam — tak potrzebnej — centralnej wypożyczalni sprzętu turystycznego. Turyści marzą co prawda o pewnym pięknym lokalu, ale ponoć potrzebniejszy jest tam wzorcowy punkt „Argedu", który również konkuruje o ów lokal. Nie przesądzajmy jednak sprawy, gdyż może i tym razem osobista interwencja....

Bardziej realna wydaje się sprawa dwu mniejszych wypożyczalni. Jedna na ul. Nowotki 119 — ma obsługiwać młodzież. Druga na ul. Zuli Pacanowskiej w pomieszczeniu stanowiącym obecnie rupieciarnię MHD — będzie obsługiwała resztę łodzian. Ale warunki lokalowe nie pozwolą tu zmagazynować odpowiedniej ilości sprzętu i właściwie go konserwować. Więc nie ustawajmy w staraniach o ową centralną wypożyczalnię.

POTĘPIENIE PARTYZANTKI

Nie jest tajemnicą, iż w tej chwili nikt w Łodzi nie wie ilu ośrodkami campingowymi dysponują różne łódzkie instytucje, ile wydają na wybudowanie i utrzymanie owych ośrodków. Według odpowiednich zarządzeń i zaleceń żadna instytucja nie ma prawa postawić ani jednego domku campingowego bez zgody ŁKKFiT. Chodzi tu chociażby o właściwe rozmieszczenie ośrodków wypoczynkowych. Ale to jest tak tylko na papierze. W praktyce różne instytucje budują gdzie chcą, a później przychodzą do ŁKKFiT z alternatywą: albo zaakceptujecie to co zrobiliśmy, albo sobie wyburzajcie. Taką metodę zastosowało choćby łódzkie Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne i zorganizowało bez zezwolenia ośrodek w Spale, choć władze uznały, że właśnie w Spale jest tych ośrodków już stanowczo zbyt wiele. No i teraz tramwajarze popadli w tarapaty, gdyż ktoś pozwolił sobie na partyzancką samowolę.

Teraz obowiązują w tej materii o wiele bardziej zaostrzone przepisy. Ich celem jest — skoordynowanie zagospodarowania turystycznego województwa w jednych rękach. Dąży się m. in. do tego, by różne instytucje, dysponujące nawet niewielkimi funduszami stawiały domki w większych skupiskach, razem z innymi. Dzięki temu oszczędzi się choćby na nowe domki przez zlikwidowanie etatu dozorcy dla... dwu domków i jednego kajaka. O wiele taniej wypadnie jeśli administracje nad miasteczkami campingowymi przejmie władza terenowa. Taka polityka wyjdzie tylko na dobre ludziom, któ-

rzy część swego ciężko zapracowanego funduszu przekazują na cele turystyczne.

I jeszcze jeden kwiatek z „partyzanckiej łączki". Swego czasu PTT-K kupiło za ciężkie pieniądze jacht pełnomorski „Czantyr". Gdy już zapłacono i spore sumy zainwestowano w wyposażenie jachtu okazało się, że jest on przerobiony ze starej łodzi desantowej pokrytej z zewnątrz cementem. A pod owym cementem kadłub był tak zżarty rdzą, iż o pływaniu nie można było marzyć. Płacono więc znów majątek za przechowanie i pilnowanie owej krypy. Teraz PTT-K procesuje się o zwrot owych wydatkowanych pochopnie sum.. i kupuje nowy jacht za kilkaset tysięcy złotych. Odbędzie na nim rejsy w ciągu roku, około 36 osób. A gdyby tak trochę z tych pieniążków przeznaczyć na zakup kajaków, których wciąż brak i na turystykę pieszą, która o każdy grosz musi boje toczyć? Ale cóż — partyzantka u nas wciąż w modzie.

I na koniec optymistyczny akcent: w najbliższym czasie odbędzie się wspólne posiedzenie podkomitetów do spraw turystyki ŁKKFiT oraz WKKFiT, na którym zatwierdzi się z kalendarzem w ręku plan imprez turystyczno-wypoczynkowych na ten sezon. Obecnie przygotowuje się na to posiedzenie wykaz miejsc wypoczynkowych w Łodzi i województwie. Gdy już będzie wiadomo, jak co, cały plan zostanie wydany w formie broszury. A więc coś się dobrego dzieje. Odpukajmy jednak, a nuż zapeszymy?

WALDEMAR UCHMAN

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

STEFAN HEINE

Kiedy zaledwie szesnastoletni Stefan Heine zaczynał pracować w teatrze, Łódź miała od paru lat stałą scenę i stały zespół teatralny. Teatr Miejski mieścił się tam, gdzie dziś Teatr im. Stefana Jaracza. Ale te „pierwsze kroki" stawiał pan Stefan w Teatrze Popularnym, którym dyrektorował Wojciech Pilarski. „Wtedy jeszcze wydawało mi się, że chcę być aktorem. Nie było wówczas w naszym mieście żadnej, tak jak to jest dziś szkoły, która uczyłaby aktorstwa. Wówczas teatr, to była najlepsza szkoła". Pan Stefan nie został jednak aktorem. „Nigdy potem, ani nawet teraz tego nie żałowałem" — mówi.

W Teatrze Popularnym na scenie przeznaczonej dla robotniczej widowni pan Stefan został suflerem. Był wtedy rok 1924. Na scenie teatru grano rozmaite przeróbki popularnych powieści, wieloosobowe sztuki ze wstawkami śpiewno-tanecznymi, budka suflerska stała na środku sceny, a biedny pan Stefan wdychał tumany kurzu unoszące się przy każdym ruchu występujących aktorów. „Pamiętam suflerowałem tam całą Trylogię i Krzyżaków". „Pan Wołodyjowski" grany był pod tytułem „Hajduczek", a „Quo vadis" jako „Ligia". W teatrze tym byłem cztery sezony, potem, aż do wybuchu wojny suflerowałem w Teatrze Miejskim i w Teatrze Kameralnym, (dziś jest tam Teatr 7.15), a po wojnie od dyrekcji pani Chojnackiej pracuję w Teatrze Powszechnym". Wprawdzie nikt nigdy z rodziny pana Stefana nie był aktorem, ale w jego rodzinnym domu pielęgnowany był kult do teatru. „Matka moja jeździła do Krakowa i Warszawy do teatru. Uwielbiała Helenę Modrzejewską. Wiele od niej o niej słyszałem. Potem, po wojnie kilkakrotnie pisałem o Helenie Modrzejewskiej.

W Teatrze Miejskim było trzech, a nawet w niektórych sezonach czterech suflerów. Premiery były bardzo często, sztukę próbowano maksimum trzy do czterech tygodni; dwadzieścia, dwadzieścia dwie próby. Aktorzy nie mogli mieć należycie opanowanego tekstu. I trudno byłoby wyobrazić sobie istnienie wówczas teatru bez suflera. „Prócz mnie suflerami przez długie lata był Józef Pelszyk i Zenobia Wybrańska. To ona zdradzała mi tajemnice naszego fachu, ćwiczyła ze mną dykcję, szczególnie spółgłoski, te wszystkie sz, cz, s, z, tak syczące. Szeptu suflera nie może słyszeć publiczność, ale dla aktora musi być czytelny i wyraźny. Korzystanie z pomocy suflera to zresztą duża sztuka, przed wojną mistrzem w tej sztuce był Melina".

W Teatrze Miejskim pan Stefan pracował z niemal wszystkimi najsłynniejszymi aktorami lat międzywojennych. Pięknie opowiada o ich występach. Ma w pamięci całą masę szczegółów, anegdot i bardzo chętnie o nich mówi. „Solska, Przybyłko-Potocka, Stępowski, Węgrzyn, Jaracz, Osterwa, Wysocka, która była tu przecież dyrektorem, Eichlerówna, Malicka, a z łódzkich — Znicz, Horecka, cóż to byli za aktorzy. Teatr był wtedy dla aktora, aktor o nim stanowił, aktor go tworzył. Taki teatr kocham. Pamiętam, jakie tłumy ściągała Horecka, Lubieńska, Znicz, ilu wielbicieli miała piękna Grywińska, Jerzmanowska, Skrzydłowska". Kiedyś pan Stefan znalazł za kulisami jakiegoś pinczerka, występowała w tedy gościnnie Solska w jednoaktówkach Alfreda Savoir-Poznańskiego, autora popularnych bulwarowych sztuczek, razem ze Stępowskim i Woskowskim. „W obliczu śmierci" miała Solska popisową scenę obłędu — mówi — którą rozgrywała brawurowo wydając naturalistyczne dźwięki podobne do wycia psa. Mój pinczerek siedzący spokojnie do tej sceny ukryty pod marynarką zaczął ku mojemu przerażeniu odpowiadać aktorce wyciem. Ten niespodziewany akompaniament, widziałem to dobrze, zaskoczył aktorkę, ale scena tak niespodziewanie wzbogacona dźwiękowo — nie było jeszcze wtedy magnetofonów — zakończyła się wielkim triumfem Solskiej. Potem przez jakiś czas, na prośbę aktorki przynosiłem psa, ale nigdy już nie zawył".

Po wojnie pan Stefan zaczął tłumaczyć. Najpierw pieśni niemieckich kompozytorów, później, to co mu bliskie; Sudermana, Wedekinda, Świtilera i Strindberga. Kilka tłumaczonych przez niego dramatów nadał Teatr Polskiego Radia. Grała w nich Eichlerówna, którą pan Stefan ceni najwyżej spośród polskich aktorek, bo „ma w sobie wszystko co w tradycji aktorstwa polskiego najlepsze".

„Sufler przed wojną — mówi — był ważną w teatrze osobistością. Gaży miałem 400 zł, ale Józef Pelszyk uważany za najlepszego w Łodzi miał aż 500 złotych miesięcznie. To była gaża bardzo dobrego aktora. Zespół kompletowano od suflera i o tym, żeby nie zostać zaangażowanym nie było mowy. Teraz nasza praca wygląda trochę inaczej. Aktorzy, szczególnie ci młodzi mają opanowany tekst i w zasadzie nie trzeba im podrzucać kwestii. Teraz właściwa praca to próby. W czasie prób sytuacyjnych, gdy aktor odrzuca tekst, siedzę na scenie i podpieram aktora, zaznaczam na egzemplarzu uwagi reżysera, zmiany sytuacji, pauzy. Dobry sufler na ostatnich próbach mówi już tak, jak na przedstawieniu, trzeba nauczyć aktora słuchania". A w czasie przedstawienia? No, a w czasie przedstawienia siedzę na samym przodzie sceny, przed inspicjentem, tuż za kurtyną".

„Suflerowanie wymaga ogromnego wysiłku i skupienia. Muszę widzieć aktora, muszę śledzić z napięciem wszystko, co się dzieje na scenie. Na ogół wiem, kiedy potrzebna jest moja pomoc, poznaję to po oczach aktora. Czasem nieopatrznym rzuceniem tekstu można wytrącić aktora, można mu zepsuć scenę. Potrzebna jest intuicja, ale i pewna zawodowa wiedza. Jeżeli pauza się przedłuża, wiem, że aktor stracił wątek. Wiem, że kiedy aktor się przejęzyczy raz, będzie się przejęzyczał, a w którymś tam momencie zabraknie mu kwestii. Aktorzy teraz ogromnie dużo pracują i często są bardzo zmęczeni na przedstawieniu. W zasadzie podrzucam to, co w kwestii jest istotne — temat, resztę robi aktor. Jeżeli kwestia np. zaczyna się od „ale proszę pana pieniądze mam w kieszeni" — nie mówię „ale proszę pana" — to aktorowi nic nie mówi. Każdy z nas zna zespół, zna słabe miejsca roli, wie jaki aktor jaką ma pamięć. Są przecież tacy, którzy pamiętają dokładnie całą kwestię i kiedy wypadnie im jedno słowo gubią się, są tacy, którym potrzebny jest tylko temat, przedmiot dialogu. Pierwszym podrzucać trzeba słowa, drugim tematy, ale tu nie ma reguł. Czasem oczywiście sufler ingeruje, gdy aktor przeskakuje istotne dla wątku kwestie i skraca tekst, ale w zasadzie dobry sufler to taki, który potrafi inteligentnie milczeć.

informacje i zaczepki

Nie wszystkim pewno wiadomo, że w Łodzi mieści się redakcja Słownika Biograficznego Pracowników Książki Polskiej. Jako ciekawostkę podajemy, że Słownik uwzględni nazwiska... muzułmańskich kopistów starych ksiąg liturgicznych. Autorem haseł na ten temat jest potomek muzułmańskich Tatarów, naukowiec i dziennikarz pan Maciej Konopacki.

●

„Odgłosy" pisały w swoim czasie o potrzebie urządzania w Klubie Studenta przesłuchań interesującej muzyki z płyt oraz recitali młodych muzyków. Właśnie ostatnio odbył się pierwszy koncert z tego cyklu, na którym wystąpił pianista Czesław Majewski. Imprezę prowadził Andrzej Makowiecki.

●

Jak podaje „Nowa Kultura" Państwowy Instytut Wydawniczy wyda niebawem tom prozy Henryka Grynberga pt. „Ekipa Antygona". Warto dodać, że autor jest aktorem łódzkiego Teatru Żydowskiego, a tematem opowiadań są losy żydowskiego chłopca w latach wojny i po jej zakończeniu.

●

W ubiegłym tygodniu odbył się w Studyjnym Kinie „Gdynia" odczyt rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatru i Filmu prof. dr Jerzego Toeplitza. Znany historyk i teoretyk filmu mówił na temat nurtów artystycznych we współczesnej sztuce filmowej. Warto przy okazji dodać, że istniejące już piąty rok łódzkie Kino Studyjne było pierwszą tego typu placówką w Polsce.

●

Łódzki ORS udzielił w ubiegłym roku kredytów na sumę prawie pół miliarda złotych, z czego na samo tylko kupno telewizorów aż 130 milionów. Jesteśmy więc narodem optymistów — na przekór wszystkiemu wierzymy, że program TV ulegnie jednak poprawie.

●

Pisała już kiedyś bodaj „Polityka" o niemałym znaczeniu, jakie w rozwoju kulturalnym polskiej wsi odgrywa Ochotnicza Straż Pożarna. Właśnie w ubiegłym tygodniu odbył się w Kutnie II wojewódzki przegląd strażackich orkiestr dętych. W przeglądzie brało udział 14 zespołów z całego województwa.

●

WANDA KARCZEWSKA PO NIEMIECKU I PO ANGIELSKU

Wydawnictwo niemieckie Carl Hanser Verlag zwróciło się do łódzkiej autorki Wandy Karczewskiej z prośbą o udzielenie praw na przekład jej powieści „ODEJŚCIE", nagrodzonej swego czasu na ogólnopolskim konkursie powieściowym Wydawnictwa Łódzkiego.

Z propozycją wydania tejże powieści w języku angielskim zwróciło się angielskie wydawnictwo MacDonald and Co.

J. W.

MARIA KORNATOWSKA

„ZERWANY MOST"

Film reżyserii Jerzego Passendorfera „Zerwany most" zaczyna się bardzo interesująco, kończy natomiast o wiele gorzej. Początek jest rzeczywiście obiecujący, piękna i trochę niesamowita sceneria, nastrój tajemniczości i niedopowiedzeń, zagadkowe twarze i rozmowy. Słowem czujemy, że coś się szykuje. Potem okazuje się długa retrospekcja stanowiąca najważniejszy moment struktury filmu. Retrospekcja utrzymana w stylu awanturniczego westernu. Pościgi, strzelanina, „trup gęsto się ściele", efektowne plenery. Nawet role kobiece zostały obsadzone zgodnie z poetyką westernu. Ta szlachetna i jedyna ma jasne włosy (może nie tak złociste jak dziewczęta z Texasu), a ta zła — czarna jak noc. Można wprawdzie zauważyć, że jak na szanujący się western tempo filmu jest nieco za powolne, za mało dynamiczne. Tempo to natomiast wyraźnie rośnie pod koniec. Reżyserowi musiało się już diabelnie śpieszyć i dlatego dosyć szybko i bardzo nieprzekonywająco zakończył rzecz całą. W sumie „Zerwany most" nie jest filmem złym. Można w nim nawet znaleźć sporo zadatków na dobry film. Ale reżyserowi zabrakło jednolitej koncepcji i szerszego oddechu (sam szeroki ekran, pięknie zresztą przez A. Nurzyńskiego zakomponowany i przestrzenne plenery nie wystarczą).

W „Zerwanym moście" tkwią elementy co najmniej trzech różnych charakterem i stylem filmów. A więc western z typowym motywem człowieka godzącego się na wszelkie wyrzeczenia i ofiary byle przywrócić ład i prawo oraz zapobiec gwałtom dokonywanym na niewinnej ludności. A więc dramat moralny człowieka, który w imię wyższych racji musi grabić, palić i mordować i to w dodatku ludzi sobie drogich. Dramat ostatecznych racji moralnych. Wybór Łomnickiego na wykonawcę głównej roli świadczy o tym iż reżyser miał chyba zamiar pogłębić problematykę moralną swego filmu. Niestety, w praktyce nic z tego nie wyszło. Dramat wewnętrzny bohatera potraktowany został bardzo powierzchownie. I jak na nasz zupełnie już cywilny sposób odczuwania chyba aż za bardzo. I wreszcie samo zakończenie filmu w połączeniu z początkiem stanowi świetny materiał do filmu o człowieku, który pada ofiarą dziwnie powikłanych dróg współczesnej historii. Wszystkie te trzy filmy, jak już wspomniałam tkwią w „Zerwanym moście" ale żaden z nich nie został konsekwentnie rozwinięty. Stąd uczucie dziwnego niedosytu z jakim opuszcza się kino. Bo coś tu nie gra, bo w rezultacie nie powstał ani western ani dramat moralno-psychologiczny. I chyba wypada żałować tego braku zdecydowania ze strony reżysera, bo przy konsekwentnym potreściowo i stylistycznie potraktowaniu, w każdym z tych wypadków mógłby powstać film pasjonujący.

Tadeusz Łomnicki w „Zerwanym moście"

Fot.: E. Kudaj

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MARINA VLADY

Metryki „GWIAZD"

Nazwisko	Miejsce urodzenia	Data urodzenia
69. Peck Gregory	La Jolla, USA	1916
70. Petit Pascale	Francja	1937
71. Piaf Edith	Paryż, Francja	1915
72. Piatigorsky Gregor	ZSRR	1903
73. Pons Lily	Cannes, Francja	1904
74. Porter Cole	Peru, Ind., USA	1893
75. Presley Elvis	Tupelo, USA,	1935
76. Prima Louis	New Orleans, USA	1911
77. Robeson Paul	Princeton, USA	1898
78. Rogers Ginger	Independence, USA	1911
79. Rubinstein Artur	Łódź, Polska	1889
80. Schipa Tito	Lecce, Włochy	1890
81. Signoret Simone	Niemcy	1921
82. Sinatra Frank	Hoboken, USA	1917
83. Stern Isaac	Kreminisey, ZSRR	1920
84. Stewart James	Indiana, USA	1908
85. Stokowski Leopold	Londyn, Anglia	1882
86. Stolz Robert	Graz, Austria	1886
87. Stravinsky Igor F.	Leningrad, ZSRR	1882
88. Sumac Yma	Peru	1922
89. Taylor Elizabeth	Londyn, Anglia	1932
90. Taylor Robert	Filley, USA	1911
91. Tebaldi Renata	Pesaro, Włochy	1922
92. Temple Shirley	Santa Monica, USA	1928
93. Tracy Spencer	Milwaukee, USA	1900
94. Vadim Roger	Francja	1927
95. Vidor King Louis	Galveston, USA	1894
96. Wayne John	Winterset, USA	1907
97. Welles Orson	Kenosha, USA	1915
98. West Mae	Brooklyn, USA	1892
99. Whiteman Paul	Denver, USA	1890
100. Young Loretta	Salt Lake City	1913

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Kłopoty „Na białym szlaku"

O tym dziwnie zrealizowanym filmie pisała prasa począwszy od powrotu ze Spitsbergenu reż. Jarosława Brzozowskiego (część zdjęć kręcono podczas wyprawy naukowej doc. Siedleckiego) poprzez perypetie ekipy zdjęciowej w Tatrach. Roztaczano wtedy przed czytelnikami pism perspektywy filmowego dramatu psychologicznego, filmu z dreszczykiem itp. I wszystko dyskretnie ucichło po pewnym czasie aż do marcowej premiery „Na białym szlaku". Okazało się, że filmu nie zrealizował jedynie debiutujący w filmie fabularnym reż. Brzozowski, ale także inny reżyser — Andrzej Wróbel. Niżej podpisany nie ma nic przeciwko spółkom reżyserskim. Hoffman i Skórzewski udowodnili swoimi filmami powodzenie duetu reżyserskiego. W przypadku jednak filmu „Na białym szlaku" dwóch reżyserów niezbyt chyba potrafiło sobie poradzić z ciekawym tematycznie i atrakcyjnym filmowo materiałem scenariuszowym, który dostarczyła im na spółka pisarska — Alina i Czesław Centkiewiczowie. Dosyć interesujące partie początkowe filmu, stopniowo przechodzą w rozległy wywód dwóch mężczyzn stojących po dwu stronach barykady drugiej wojny światowej. Sposób w jaki poprowadzeni zostali przez reżyserów, skądinąd świetni aktorzy filmowi — Emil Karewicz i Leon Niemczyk, zmierza w efekcie do tego, że film staje się po prostu nudny a zawarte w nim niewątpliwie wartościowe treści humanistyczne i antywojenne nie są przekonywające i stają się w większości pustymi, deklaratywnymi słowami.

Deklaratywność dialogów prowadzi niekiedy do nieuzasadnionych spięć humorystycznych. Dwaj reżyserzy jak gdyby na przekór sobie czynią tzw. kiksy doprowadzające w efekcie do zatarcia i zmniejszenia wagi problemów i konfliktów jakie chcieli ukazać autorzy scenariusza. Tragiczny los dwu antagonistów — Niemca Webera i Polaka Sikory zbyt często jest przy pomocy bardzo kiepsko wyreżyserowanych scenek i sytuacji łączony w sposób wielokrotnie podobny do przysłowiowego już chwytu lewa ręka za prawe ucho. Tak jest na przykład w scenie bójki między Weberem a Sikorą skopiowanej na sposób amerykańskich superfilmów, po której bezpośrednio następuje pseudodramatyczne „poważnie" wypowiedziane zdanie na temat chęci równie poważnej rozmowy z przeciwnikiem. Efektem takiej sytuacji jest oczywiście wielki śmiech na widowni.

Szkoda, że znany i ceniony dokumentalista reż. Jarosław Brzozowski tak niefortunnie zadebiutował w fabule mając do pomocy reż. Andrzeja Wróbla i bądź co bądź opierając się o dobry temat, świetnych aktorów, znakomitego operatora Bogusława Lambacha i oczywiście sporo wydanych, niestety, państwowych pieniędzy.

ZDZISŁAW STRZĘPEK

agro-kłopoty

— Mój ojciec — mawia pewien chłop — popełnił błąd. Zamiast 12 ha i dwojga dzieci, miał 2 ha i... dwanaścioro dzieci.

Cóż, chłopina odwrócił proporcje. Ale nie był wyjątkiem. Przeciwnie — prezentował zupełnie typowy proces. Przyrost naturalny na wsi był ogromny.

2 ha wypadło dzielić na dwanaście części. I dzielono. Zwłaszcza kiedy dookoła wsi roztaczał się mur nie do przebycia, kiedy nie można było odejść do miasta, do fabryk, do szkół... Dzielono dramatycznie: brat bratu nie darował jednej skiby. Historia Kaina i Abla rozgrywała się stale na nowo. Sprawa bowiem stała: „być, albo nie być". Być wyrobnikiem, żebrać, zdychać z głodu, lub siedzieć twardo na swoim, nawet małym skrawku gruntu.

Walka o byt zawsze jest brutalna i bezwzględna. Historia naszej wsi zna wiele zabójstw, nienawiści „do grobowej deski", udręczeń, podpaleń... Najbliższe pokrewieństwo nie było tu żadną tamą. Ani też najsilniejsza wiara w dobre bóstwo.

W artystycznych obrazach wsi sprawy te zawsze znajdowały wiele miejsca. Zarówno w klasycznych reymontowskich „Chłopach", jak i w „Nizinach" Orzeszkowej, w filmie „Róże i chleb", czy dopiero co wydanej książce Kowalca, „Ziemi przypisany". W procesie tym objawiały się wszak wielkie namiętności, najgorsze instynkty, dramaty. Chętnie sięgali do nich pisarze, śledzący człowieka.

Ten najostrzejszy nurt w procesie rozdrobnienia ziemi należy do przeszłości. W naszych dniach odzywają się tylko gdzieniegdzie jego echa. W czasie mojej wędrówki po sądach w Kutnie, Łasku, Pajęcznie i Łodzi, zanotowałem: w Dubidzach bratobójstwo (i dożywocie), w Sędziejowicach sławetny Rydz zastrzelił 7 osób (w tym matkę, siostry), w Gajęcicach Starych, syn zabił ojca.

Sporo natomiast jest jeszcze nienawiści, kłótni, bójek. W rodzinie i między sąsiadami, a nawet całymi wsiami. Latami trwają procesy sądowe. Stają się z czasem rozrywką dla wsi, jedyną namiętnością zainteresowanych. W murach sądów często jeszcze powtarzają się zaklęcia: „ostatnią krowę sprzedam, ale mu pokażę". Sprzedawali. Wartość krowy z wolna przejmował adwokat. Gdy ta droga nie wystarcza, sięgają po kłonice... I znów potrzebny jest adwokat.

Miterscy z Bałdrzychowa walczą o schedę od szeregu lat, Tomczyk spod Widawy długo i dzielnie stawia czoła dwom młynarzom (a sekunduje cała okolica). Ciągle wydłuża się łańcuch cywilnych i karnych spraw. Zapalczywie i długo (najstarsi przypominają epizody sprzed... 70 lat) trwały boje o kawałek ziemi między wsiami Kruplin i Łączki (pow. Pajęczno). Do ataku chadzały tłumy zbrojne w sztachety, widły i kamienie. I ponosiły ofiary.

TEMPO: 5,5 TYS. NA ROK

To był wierzchni, spieniony nurt procesu rozdrobnienia ziemi. Obok niego toczył się spokojnie, ale szeroką i głęboką falą, nurt zasadniczy. O jego rozmiarach decydowała wielodzietność chłopskich rodzin i ekonomiczny mur otaczający wieś. Co roku przybywało więc tysiące, dziesiątki tysięcy nowych, oczywiście coraz mniejszych gospodarstw.

Ilustrujących cyfr nie będę brał z dalekiej przeszłości, bo równie dobrze wystarczą liczby z ostatnich lat. W roku 1950 zastajemy w naszym województwie 233.900 gospodarstw rolnych. W 10 lat później spis rolny wykazuje już... 288.352 gospodarstwa chłopskie. Czyli przybyło ponad 55,5 tys. rolniczych karzełków! Proces ten rozkłada zdolności produkcyjne wsi, niszczy ekonomiczne siły rolnictwa.

Rocznie przybywa średnio 5,5 tys. gospodarstw! Przybywa, mimo że zaszły przecież zmiany, które niezmiernie osłabiły ten proces, zlikwidowały tak ostry dawniej głód ziemi. W naszym województwie, rozdzielona została pomiędzy chłopów ziemia 1040 majątków dworskich o łącznym obszarze 263 tys. ha, a także gospodarstwa poniemieckie i opuszczone o obszarze 86,6 tys. ha! Powstało stąd 34 tys. nowych gospodarstw, a 25,5 tys. chłopów otrzymało ziemię dla upełnorolnienia gospodarstw.

Jeśli do tego dodać wielkie przemieszczenie się ludności wiejskiej z naszego województwa na Ziemie Zachodnie oraz do miast, do przemysłu i szkół, obraz będzie pełny. Był nadmiar ziemi, a więc jak nigdy mało powodów do jej rozdrobnienia. A jednak...

Tymczasem na szerokim świecie dzieje się coś zupełnie przeciwnego. I to nie od dzisiaj — od dawna. Już od 50 lat obowiązuje w Niemczech zakaz podziału gospodarstw i zasada przekazywania ich w całości jednemu z dzieci koniecznie przygotowanemu do tego zawodu. Każdy ożenek powodował fuzję dwu gospodarstw i nie rozdrobnienie a koncentrację ziemi. Od dawna podobnie jest w Anglii, gdzie obowiązuje majorat (gospodarstwo dziedziczy najstarsze dziecko).

W USA nie ma wprawdzie żadnych nakazów, ale wolna konkurencja corocznie wysadza z siodeł setki tysięcy drobniejszych farmerów. Sprzedają ziemię bogatym, zwijają manele i opuszczają wieś. Eksperci przewidują, iż z 3,2 mln. farm istniejących obecnie w USA w 1975 r. zostanie tylko 2 mln! Tam w rolnictwie już obecnie pracuje tylko 7,5 proc. ogółu pracujących, w NRF — 10 proc. a w naszym województwie jeszcze... 50 proc.!

I w krajach naszego obozu następuje koncentracja ziemi. Oczywiście w sposób socjalistyczny, spółdzielczy. Na wielkich obszarach możliwa jest mechanizacja i wszelkie zmiany przynoszące w efekcie znaczny wzrost wydajności pracy ludzkiej, pomnożenie i potanienie produkcji. Wielkie gospodarstwa w rolnictwie to tyle co „długie serie" w przemyśle.

A u nas przeciwnie — trwa rozdrobnienie.

Przyjrzyjmy się nieco konsekwencjom tego procesu — strukturze gospodarstw. Ponad 1/3 ich liczby zamyka się w rubryce „do 3 ha"! Są to działki w sam raz do amatorskiej hodowli róż, lub drobnego warzywnictwa, a nie dla współczesnego rolnictwa, zaprzeczają jakiejkolwiek współczesności w rolnictwie.

70 proc. gospodarstw chłopskich w województwie zamyka się granicą 5 ha. Gospodarstwa powyżej 10 ha stanowią ledwie drobny margines. Stale ich zresztą ubywa. Łupane są na drobne i coraz drobniejsze skrawki ziemi...

GRANICA PESYMIZMU

Tych, którzy sądzą, że podany wyżej stan rozdrobnienia to już wielka fatalność, chcę nieco rozczarować. To zbytni optymizm. Jest wszak znacznie... gorzej. Prawdziwie beznadziejny wprost rozpaczliwy obraz łódzkiej wsi wygląda dopiero z tzw. „szachownicy". Podawane już rozdrobnienie nie podwaja, nie potraja, ale — podnosi się do kwadratu!

Oto liczby. Zanim dyrektor **Wądołowski** z Woj. Biura Geodezji, mógł mi je podać, sztab fachowców musiał pracować przez szereg lat. Zresztą praca jeszcze trwa.

Wyobraźcie sobie gospodarstwo E. Mikielskiego ze wsi Rajsko, pow. Piotrków. Na jego 3,5 ha składa się... 49 oddzielnych kawałków ziemi leżących w rozmaitych częściach wsi, a nawet we wsiach sąsiednich. Wyobraźcie sobie ile ma granic z sąsiadami, (a więc powodów do kłótni), ile one zajmują ziemi, ile potrzeba dojazdów, ile one zajmują gruntu, ile chłopina i jego szkapa marnotrawią czasu i pracy na dojazdy! Jest to przecież coś irracjonalnego, nieprawdopodobne wynaturzenie ekonomiczne.

Curiosum? Niestety, znów nie! Na 114 tys. ha ziemi, użytkowanej przez chłopów pow. Radomsko, 80 tys. ha leży w działkach. Na gospodarstwo przypada 15—25 działek! Z 68 tys. ha w Skierniewickiem rozproszkowane jest przeszło 80 proc. Działek 7—10. Zupełnie podobnie jest w pow. Pajęczno, z tym, że działek jest więcej — do 15.

Razem w województwie na 1.298 tys. ha, 602 tys. ha leży w **drobnej szachownicy.** Czyli bez mała 50 proc:! Działek wypada 7—12! Proszę zauważyć, że mowa tutaj o „drobnej szachownicy"; wypadki, gdzie działek jest 2—4, nie są liczone. Warto tu też zauważyć używany na wsi termin — „Różniczanie". Są to chłopi mający kawałki ziemi (niby tę różnicę w powierzchni gospodarstwa) w innych wsiach. Na każdej wsi takich rolników jest ok. 10 proc.

Nic tak nie uzmysławia nieszczęścia „szachownicy" jak kartografia. Oglądałem plany wsi. Oto Zamoście (pow. Bełchatów). Na 180 ha doliczyłem się 238 chłopskich „gospodarstw", złożonych z... 700 oddzielnych kawałków ziemi! Niektóre kawałki są wąskie na 1,5 m, a długie na 1 km. Obok miasteczko Warta (pow. Sieradz) — działki pokiełbaszone, w niektórych miejscach prawie zanikające, ciągną się po 4 km! Są to tzw. „sznury". I miedze, miedze, dojazdy... Geodeci wyliczają, że złożone razem miedze z województwa, ustanowiłyby duży powiat (140 tys. ha!) A drogi? Liczyć się nie chce...

TWOJE 0,6 HA...

Oglądałem latem nasze pola z samolotu. Jakżeż pstro, co za mozaika, zamiast jednolitych, wielkich łanów. Tak wyglądają „agro kleszcze". Hamulec wszelkich zmian i postępu. Bariera na drodze traktorów. Węzeł działek, spraw własnościowych, społecznych, niedobrych tradycji. Stąd problem rolnictwa, trudny — jak się przekonujemy od szeregu lat — do rozwiązania.

Poza marnotrawstwem pracy, niemożliwością wprowadzenia nowoczesności agrarnej naszej wsi grozi szereg innych konsekwencji. Każdy nawet z drobnych gospodarzy chce mieć konia (tradycja, niezależność), choć w dziesiątkach tysięcy gospodarstw jest on zupełnie zbędny. Rolnik wykorzystuje ledwie część jego **pracy.** A koń zjada plony z 1 ha, a więc często połowę tego co gospodarz zbiera. Rozdrobnienie „trzyma" również masę ludzkich rąk do pracy, wykorzystywanych także ledwie w części.

A budownictwo? Na każdym skrawku stają obory, stodoły, szopy. Biedne, często zbędne. Zajmują tylko coraz więcej gruntu. Podobnie drogi. W efekcie użytki rolne kurczą się. Rzecz błaha? Nie. W 1946 r. na obywatela przypadało 0,8 ha, a dziś już 0,6 ha. Żeby Polakowi było dobrze, lepiej, produkcja z jego ułamka hektara musi szybko rosnąć. A jak rośnie? Zaakcentowany po wojnie przemysł daje dziś ponad 700 proc. tego co przed wojną, rolnictwo — ledwie 150 proc!

Poza rozdrobnieniem, wielkim marnowaniem możliwości produkcyjnych wsi są gospodarstwa podupadłe (przeszło 10 tys.), gospodarstwa większości chłopów-robotników (w woj. ok. 50 tys.), wspólnoty gromadzkie, źle wykorzystywana ziemia Państwowego Funduszu Ziemi (18 tys. ha) etc.

Osobny problem to spłaty rodzinne czyli swoisty „drenaż wsi". W zasadzie każdy, kto wychodzi ze wsi, ma prawo do spadku. I wielu niestety wyciska co się da ze swoich krewniaków. Wyciska na luksusowe meble do mieszkania, które dostał od państwa, na samochód, by w większej chwale jaśniało jego zdobyte na koszt państwa wykształcenie. Zabiera ze wsi pieniądze, które tam zmieniłyby się w dodatkowe ilości mięsa lub zboża, na których tak państwu zależy.

Rozwiązanie tych wszystkich kwestii staje obecnie wreszcie na porządku dziennym. Nad odpowiednimi ustawami, zgodnie z uchwałami XII Plenum KC partii, pracuje już Sejm. Ustawy wprowadzą jedynie ramy, oparcie prawne. My wszyscy, społeczeństwo, będziemy je wypełniać życiem.

Musimy więc zdawać sobie sprawę z sytuacji i celów, i w oparciu o to kształtować nasze postawy, zrozumienie, poparcie.

Same prawa nie wystarczą. Trzeba wszak przełamywać rzeczy niewymierne, mało uchwytne — tradycje, obyczaje, mentalność. A w tym możemy mieć udział istotnie wszyscy. Chodzi tu zresztą o nasze, moje i twoje, Czytelniku 0,6 ha.

JERZY NOWACKI

PIERWSZOKLASIŚCI

Dobiegają w Łodzi do końca zapisy dzieci urodzonych w roku 1956 do pierwszych klas szkoły podstawowej. Władze oświatowe naszego miasta postanowiły dokonać tego w bieżącym roku znacznie wcześniej, niż w latach ubiegłych. Jaki był cel wcześniejszych zapisów? Czy ma to jakiś związek z reformą szkolnictwa? Jakie przyniesie korzyści? Oto pytanie, na które należą się wyjaśnienia.

Na wstępie należy stwierdzić, że dzieci urodzonych w roku 1956 mieszka w naszym mieście ponad 13.000. Liczba ta jest nieco mniejsza niż w latach ubiegłych i według danych będzie w przyszłości również wykazywała tę samą tendencję. Aby nie być gołosłownym, przytaczamy niżej zestawienie podające liczby dzieci, które będą rozpoczynać naukę szkolną w najbliższych latach, na terenie miasta Łodzi:

w roku 1964 — 12.700 dzieci rocznika 1957;
w roku 1965 — 11.650 dzieci rocznika 1958;
w roku 1966 — 10.450 dzieci rocznika 1959;
w roku 1967 — 9.000 dzieci rocznika 1960;
w roku 1968 — 7.950 dzieci rocznika 1961;
w roku 1969 — 6.900 dzieci rocznika 1962.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa w bieżącym 1963 roku nastąpi dalszy spadek urodzeń wobec czego i w roku 1970 liczba dzieci zapisanych do klas pierwszych ulegnie dalszemu obniżeniu.

Problem właściwego przygotowania dziecka do szkoły pozostanie jednak zawsze ostry, wobec czego nad nim pragnę obecnie zatrzymać uwagę czytelnika.

Kilka razy w życiu człowieka mówi się o jego dojrzałości. Rozwój jednostki zależy od wielu czynników, a głównie od wychowania. Wyniki wychowania rodzinnego można ocenić najlepiej, gdy obserwuje się dziecko podczas pierwszych dni pobytu w szkole. Łatwo wtedy stwierdzić u dziecka takie cechy jak: samodzielność, zdyscyplinowanie, zaradność, śmiałość, zdolność obserwowania, dokładność, umiejętność współżycia z rówieśnikami, bogaty zasób słów i p. lub, u innego dziecka, brak tych elementów które decydują o jego powodzeniu czy też niepowodzeniu szkolnym. Jeżeli więc mówi się o dojrzałości szkolnej, to nie, jak przypuszcza wiele matek i ojców, o znajomości przez dziecko siedmioletnie liter alfabetu, lecz właśnie o posiadaniu przez nie tych niezbędnych cech potrzebnych mu do zdobywania wiedzy.

Rodzice, którzy uczą swoje dzieci jeszcze w wieku przedszkolnym „na siłę" trudnej sztuki pisania, czytania czy rachowania wyrządzają mu więcej szkody niż przynoszą korzyści. Jeszcze większą szkodę wyrządzają dziecku ci rodzice, którzy wzbudzają w nim nieufność do szkoły, kwitując złe zachowanie się dziecka słowami: „pójdziesz do szkoły, to tam cię nauczą".

Planowe, właściwe przygotowanie dziecka do szkoły odbywa się w przedszkolu. Niestety, nie wszystkie dzieci mogą być objęte przedszkolnym wychowaniem. Fakt, iż spośród 13 tysięcy dzieci zapisanych obecnie do szkół podstawowych w naszym mieście, około 5 tysięcy uczęszcza do przedszkoli, jest i tak dużym sukcesem. Pozostałe 8 tysięcy dzieci wychowują rodzice, babcie czy nianie, mając zresztą zupełnie dobre chęci, a niekiedy i dobre rezultaty.

Jeżeli jednak szkoła, po przyjęciu dziecka w poczet swych uczniów, ma przejąć część odpowiedzialności za dalsze jego wychowanie, to chciałaby dokonywać tego w ścisłej współpracy z rodzicami i przy pełnym zrozumieniu z ich strony.

Nawiązanie kontaktu potrzebne jest już dziś, zanim dziecko usiądzie w szkolnej ławce. Wcześniejsze zapisy dzieci do klasy pierwszej stwarzają do tego doskonałą okazję.

Zmieniona forma zapisów, wprowadzona na szeroką skalę po raz pierwszy na terenie Łodzi, wytycza sobie dwa zasadnicze cele:

1) Wcześniejsze zetknięcie dziecka ze szkołą (luty, marzec) dla zorientowania się w jakim stopniu osiągnęło dojrzałość szkolną oraz dla udzielenia pomocy tym dzieciom, które tejże dojrzałości nie osiągnęły.

2) Ukazanie rodzicom niezwykle złożonej problematyki wiążącej się z wychowaniem i przygotowaniem dziecka do szkoły. (kwiecień, maj).

Realizacja tych celów nie jest wcale łatwa. Zapisy prowadzone w ubiegłych latach ograniczały się do złożenia przez rodziców w kancelarii szkolnej odpowiednich dokumentów, bez obowiązku przyprowadzania do szkoły dziecka. Obecnie, z nową formą zapisów, szkoły organizują kilkugodzinne zabawy dla dzieci, podczas których przeprowadza się ich obserwację. Pierwszą trudnością, która pojawiła się w toku tej działalności, była zbyt szczupła liczba psychologów zatrudnionych na terenie Łodzi. W sukurs psychologom przyszli oczywiście nauczyciele klas młodszych, a nawet niektóre wychowawczynie przedszkoli. Po przeprowadzeniu takiej obserwacji dzieci zachodzi konieczność otoczenia pewnej liczby siedmiolatków fachową opieką w okresie pozostałych do wakacji trzech miesięcy. Można to osiągnąć organizując tzw. ogniska przedszkolne dla dzieci, które do przedszkoli nie uczęszczają i nie osiągnęły pełnej dojrzałości szkolnej. Projektuje się, że takie ogniska będą organizowane w oparciu o lokale przedszkoli, w godzinach popołudniowych. Sprawa trochę kosztowna ze względu na konieczność zatrudnienia wychowawczyń przedszkoli w godzinach nadliczbowych, ale w ostatecznym rachunku bardzo opłacalna, gdyż dzieci przygotowane w ten sposób do szkoły nie będą pomnażały szeregów uczniów drugorocznych. A więc postulat wynikający z reformy szkolnictwa, a odnoszący się do podniesienia sprawności nauczania, znajdzie praktyczną realizację.

Ukazywanie problematyki wychowawczej rodzicom będzie postępowało różnymi drogami. Wiele szkół organizuje już spotkania rodziców z przyszłymi nauczycielami ich dzieci. Dokonywana w ten sposób wymiana poglądów na tematy wychowywania dziecka w domu i w szkole, przy zachowaniu jednolitej linii wychowawczej, może przynieść bardzo dobre rezultaty.

Niezależnie od tych spotkań lokalnych, poszczególne inspektoraty oświaty będą organizowały spotkania rodziców (ojców i matek) podczas których zabiorą głos lekarze i psychologowie. Na tych spotkaniach rodzice obejrzą jednocześnie ciekawe zestawy filmów oświatowych, przygotowane przez Łódzki Oddział CFO „Filmos" i omawiające zagadnienia związane z pójściem dziecka do szkoły.

W ubiegłym roku szkolnym 360 uczniów klas pierwszych łódzkich szkół podstawowych nie uzyskało promocji do klasy drugiej. Sądzić należy, że były to dzieci źle przygotowane do szkoły. Porażka przy samym starcie, to chyba wielka tragedia. Oby w przyszłości nie było takich dziecięcych tragedii.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli...

FAKT

Dnia 11 lipca 1962 r. w południe, siedemnastoletni mieszkaniec Pabianic uległ wypadkowi motocyklowemu. W pół godziny później karetka pogotowia ratunkowego zawiozła go do Kliniki Akademii Medycznej w Łodzi, gdzie chorego umieszczono na oddziale neurologicznym. Lekarze określili stan chorego jako bardzo ciężki. Mimo natychmiastowego zastosowania wszelkich dostępnych leków, chory nie odzyskał przytomności. Obawiano się, że w ciągu najbliższych godzin może umrzeć.

Sprawozdanie z akcji pozyskania leku zagranicznego za pośrednictwem radiostacji amatorskiej SP7LC.

... W dniu 11. VII. 1962 r. o godz. 21.30 czasu polskiego odebrałem telefon z Pabianic. Proszono mnie, abym za pośrednictwem mojej radiostacji wezwał zagranicznych kolegów do nadesłania bardzo pilnego leku. Po dłuższych wyjaśnieniach odmówiłem...

KOMENTARZ

SP7LC zastosował się tylko w ten sposób do uchwały Polskiego Związku Krótkofalowców, zabraniającej prowadzenia takich akcji. Uchwała ta zapadła na skutek dość często powtarzających się wypadków radiowego żebractwa. Tę bardzo nieprzyjemną, a znaną i skądinąd cechę niektórych Polaków chętnie i donośnie wykorzystywali np. Niemcy z NRF w artykułach dotyczących „braku podstawowych leków za żelazną kurtyną".

SPRAWOZDANIE

... Około godz. 22.15 zadzwonił do mnie lekarz dyżurujący z Kliniki Neurochirurgicznej Akademii Medycznej, oświadczając, że zwraca się do mnie w imieniu adiunkta tejże kliniki. Prosił o wykorzystanie możliwości mej radiostacji w uzyskaniu leku p. n. „Lucidrill" jako ostatniej szansy przywrócenia przytomności siedemnastoletniemu pacjentowi.

UWAGA

Autor niniejszego reportażu prosi Czytelników o szczególne zwrócenie uwagi na powyższy fragment sprawozdania. Jest to ważne dla późniejszych wypadków.

KOMENTARZ

Ponieważ uchwała Pol. Zw. Kr. F. zezwala na prowadzenie akcji „aptekarskiej" w eterze jeśli stwierdzi jej konieczność Wydział Zdrowia, SP7LC potraktował prośbę lekarza dyżurnego, który w dodatku reprezentował w tym wypadku adiunkta Kliniki, jako wypowiedź bardzo oficjalną. Zdaniem autora najzupełniej słusznie.

SPRAWOZDANIE

... O godz. 23.00 czasu polskiego udało mi się nawiązać łączność ze stacją F2XN (Francja — przyp. mój), jednakże na skutek złych warunków łączność się zerwała... O 23.20 w podobny sposób rozpocząłem I1KGS (połączenie z Italią — przyp. mój), które nie doszło do skutku ... O godz. 23.45 nawiązałem łączność ze stacją I1VAV, który przejął moją prośbę i zgłosił gotowość pomocy... Łączności tej jednak nie mogłem kontynuować, gdyż nad Łódź nadciągnęła gwałtowna burza... O godz. 0.50 dnia 12. VII. wznowiłem pracę po minięciu burzy, nie udało mi się jednak odnaleźć I1VAV. Nie uzyskałem również żadnej łączności europejskiej... W efekcie nie otrzymałem od I1VAV potwierdzenia, że podejmie starania o „Lucidrill"... Do godziny 5.00 bezskutecznie zabiegałem o łączność z obu Amerykami... Po krótkim odpoczynku spowodowanym zapadnięciem kompletnej martwej strefy o godz. 7.00 zameldowałem się w zakładzie pracy...

KOMENTARZ

SP7LC pracuje więc już 6 nocnych godzin, a jedyny odpoczynek na jaki sobie pozwala wynika z ciszy w eterze.

SPRAWOZDANIE

... Po wykonaniu niezbędnych czynności w zakładzie pracy uzyskałem zwolnienie i o godz. 9.30 wyszedłem ponownie w eter. 12. VII. 62. r. o godz. 10.00 nawiązałem łączność z DJ2UL operator Heinz (NRF — przyp. mój), który po zapoznaniu się z sytuacją pozostawił przy radiostacji 10-letniego synka Heino, na gorąco instruując go w obsłudze, a sam na rowerze udał się do odległego o 5 km. Oldenburga w poszukiwaniu leku...

KOMENTARZ

Mamy więc już i drugiego człowieka dobrej woli, który ryzykuje nawet, że jego 10-letni syn ulegnie wypadkowi przy obsłudze radiostacji (prąd wysokiego napięcia).

Streszczenie sprawozdania

SP7LC nawiązuje jeszcze kolejno kontakty. z Niemcem (Frankfurt n/Renem), Duńczykiem z Kopenhagi, Szwedem z Sasteras, który telefonicznie szukał leku w odleg'ym o 70 km. Sztokholmie. Odpowiedź od nich wszystkich brzmiała niestety jednakowe: lek „Lucidrill" jest w ich krajach nieznany.

SPRAWOZDANIE

... O godz. 12.00 F9GE — operator Jean (Francja) zawołał mnie i doniósł, że polecenie wysyłki leku z Paryża zostało już wydane... Nie mogąc wznowić z nim łączności „na ślepo" przesłałem mu b. serdeczne podziękowanie w swoim i rodziców chorego imieniu... Podziękowałem również wszystkim innym korespondentom, którzy pozostawali stale na podsłuchu... O godz. 13.00 otrzymałem od lekarza dyżurnego wiadomość, że nadszedł z Mediolanu telegram anonsujący wysyłkę leku...

KOMENTARZ

To ślad działalności jeszcze jednego człowieka dobrej woli. Do Polski lecą już dwie przesyłki leku, który ma uratować życie siedemnastoletniemu chłopcu.

SPRAWOZDANIE

... W rozmowie telefonicznej z matką chorego poradziłem, wobec nadejścia do Kliniki telegramu z Włoch, udać się komukolwiek na lotnisko Okęcie i oczekiwać samolotu... Późnym wieczorem matka pacjenta doniosła mi, że jej zięć podjął bez najmniejszych trudności lek i przewiózł go motocyklem do Łodzi, zostawiając w Klinice...

Tego samego dnia w rozmowie telefonicznej z adiunktem, wyraziłem przypuszczenie, że mogą wyniknąć pewne komplikacje, gdyż druga przesyłka zadysponowana została z Paryża, a rodzina która odebrała lek nie będzie już tej przesyłki oczekiwać. Proponowałem interwencję Kliniki na Okęciu w celu zatrzymania przesyłki paryskiej, aby z powodu braku odbiorcy nie wróciła przypadkiem do Paryża. Adiunkt poinformował mnie jednak o trudnościach finansowych Kliniki, wobec których rozmowa telefoniczna z Okęciem jest niemożliwa. Zapewnił jednak, że w dniu 13. VII. będzie przy innej okazji na lotnisku, więc lek osobiście odbierze...

FAKT

Rozmowa telefoniczna (3 min.) między Łodzią a Warszawą kosztuje w godzinach popołudniowych 9 złotych (słownie: dziewięć).

PRZYPOMNIENIE

POLAK, SP7LC PRACUJE PRZY RADIOSTACJI NIEMAL PRZEZ CAŁĄ DOBĘ. JAKIŚ WŁOCH O 12.00 W NOCY DLA RATOWANIA ŻYCIA NIEZNAJOMEMU POLSKIEMU CHŁOPCU SZUKA LEKU PO CAŁYM MEDIOLANIE. SZUKA GO FRANCUZ, NIEMIEC, SZWED, DUŃCZYK. O TYM, ŻE ŻYCIE LUDZKIE JEST W NIEBEZPIECZEŃSTWIE WIEDZĄ JUŻ NIEMAL W CAŁEJ EUROPIE.

KOMENTARZ

Aby zapobiec odesłaniu leku z Warszawy do Paryża potrzeba telefonu. Koszt rozmowy wynosi 9 zł. Adiunkt Wielkiej Kliniki informuje jednak o trudnościach finansowych kliniki, wobec których rozmowa telefoniczna jest niemożliwa.

SPRAWOZDANIE

... Wobec tego o godz. 23.50 uzyskałem telefoniczne połączenie z lotniskiem Okęcie prosząc o zapewnienie uprzejmego odebrania paryskiej przesyłki i zatrzymanie jej do dyspozycji adiunkta, który następnego dnia zgłosi się po nią...

KOMENTARZ

Krótkofalowiec SP7LC, Mieczysław Paul Trzcinka telefonicznie łączy się z lotniskiem Okęcie, aby przesyłka przypadkiem nie wróciła do Paryża. „Ratuje honor Polaków... Trochę przesadne, ale wcale nieglupie są te stare powiedzenia...

FAKT

Dnia 12. 7. o godz. 23.10 p. Trzcinka zadzwonił (był proszony o ciągłą łączność) do Kliniki prosząc do telefonu lekarza dyżurnego. Męski, zdecydowany głos wyraził obawę, że telefonujący nie jest przy zdrowych zmysłach. „Wyraził obawy" — w rzeczywistości pan doktor życzył sobie pocałunku w pewne tajemne miejsce i zapytał grzmiąco „czy pan zwariował?", po czym słuchawkę z trzaskiem odłożono. Lekko tylko zdenerwowany pan Trzcinka zadzwonił ponownie. Tym razem usłyszał głos kobiecy, który odmówił podania nazwiska poprzedniego uprzejmego rozmówcy. Po kilku jeszcze telefonach okazało się, że czarującym rozmówcą jest jeden z lekarzy pełniący w klinice nocny dyżur.

KOMENTARZ

Lekarz pełniący nocny dyżur został poinformowany o przyczynie telefonu, który przerwał być może mu krzepiący sen: chodziło o wiadomość czy druga przesyłka leku dotarła do kliniki i informację o stanie zdrowia chorego, o co bez przerwy dopytywali zagraniczni korespondenci. Mimo to, p. Trzcinka spotkał się, po prostu mówiąc, z chamstwem.

FAKT

I tak kończy się dzień amatorskiej pracy krótkofalowca SP7LC. Zanim batalię o życie ludzkie zaczną opisywać ludzkie gazety (w słowach pełnych poetyckich uniesień) upłynie jeszcze kilka miesięcy. A jeszcze w lipcu SP7LC otrzyma z Francji list zawierający wycinek z nieznanej francuskiej gazety oznaczonej literami RL z dn. 13. 7. 62 r. Tekst w przybliżeniu brzmi tak:

„Epinal. Wczoraj o godz. 10.30. profesor wychowania fizycznego w liceum męskim w Neufchateau, M. Aguenauer, radioamator usłyszał w eterze następujące wezwanie: SP7LC z Łodzi wzywa do przesłania na lotnisko Okęcie leku Lucidrill. Przez posterunek żandarmerii w Epinal p. Aguenauer zawiadomił dyrekcję gen. żandarmerii w Paryżu o poszukiwaniach leku. O godz. 17.30 lek znalazł się na lotnisku Okęcie w Warszawie".

SPRAWOZDANIE

W dniu 14. 7. w godz. popołudniowych rozmawiałem z lekarzem dyżurnym, który poinformował mnie, że adiunkt w dn. 13. 7. odebrał w b. miłych okolicznościach przesyłkę... lecz była to druga przesyłka z Mediolanu. Przy tym wyraził żal, że zarówno pierwsza jak i druga stanowiły tylko ilość 250 mg a potrzeba było 20 takich porcji... Z kolei ja wyraziłem żal, że nie wiedziałem o tym wcześniej...

...Dn. 19. 7. otrzymałem wiadomość, że oprócz dwóch przesyłek z Włoch nadszedł również „Lucidrill" z Francji i Austrii.

FAKT

Dn. 20. 7. po uratowaniu życia człowieka krótkofalowiec SP7LC rozpoczął drugi rozdział swej pracy. Rozpoczął od rozpoczęcia starań o potwierdzenie, że został przez Klinikę wezwany do prowadzenia akcji w eterze. Ale już wtedy okazało się, że napisanie na kawałku ostemplowanego papieru kilku prawdziwych słów jest rzeczą niemożliwą. Lekarz dyżurny wyjaśnił, że „z faktu takiego mogłoby wyniknąć dla niego i adiunkta wiele poważnych przykrości."

Jedynym zaświadczeniem była recepta na „Lucidrill" z adnotacją „Klinika leku nie posiada"...

KOMENTARZ

I właśnie w ten sposób okazało się, że cała ta potężna akcja jest — jak pisze Mieczysław Trzcinka — wynikiem inicjatywy zbyt łatwo dającego się wzruszyć krótkofalowca.

FAKT

Po uzyskaniu w ten sposób wyrażonego „uznania" dla swojej działalności, krótkofalowiec P7LC rozpoczął trzeci rozdział swojej pracy. Tym razem chodziło mu o prostą przyzwoitość — o wyrażenie podziękowania dla ludzi, którzy przyczynili się do uratowania życia 17-letniemu mieszkańcowi Pabianic. Uważał bowiem słusznie, że jego osobiste podziękowania nie wystarczą. Ponieważ rodzice chorego stali się w tym czasie nieuchwytni, p. Trzcinka rozpoczął swoje pielgrzymki do Kliniki Akademii Medycznej. Celem ich było uzyskanie podziękowania — kilku zdań napisanych na blankiecie firmowym Akademii Medycznej. Sprawa jednak tylko z pozoru wydawała się dziecinnie prosta. Najpierw nie znalazł się nikt kto by umiał napisać tych kilka zdań w języku angielskim... później tłumaczono ten fakt znowu jakimiś przykrościami odmówiono wręcz. Mimo to p. Trzcinka nie tracił nadziei — „pielgrzymki" odbywały się, czas płynął, a stacja SP7LC po ukazaniu się w eterze była natychmiast zasypywana pytaniami o akcję, stan zdrowia chorego i niemal o... sposób załatwienia całej sprawy związanej z wyrażeniem podziękowania dla ludzi, którzy choremu udzielili pomocy. Odpowiadanie na te pytania nie należało do rzeczy najprzyjemniejszych i wobec tego stacja SP7LC zamilkła na kilka miesięcy.

W początku października p. Trzcinka otrzymał list od krótkofalowca z Wolsztyna. Korespondent donosił, że jest często w eterze nagabywany o akcję przeprowadzoną przez swego polskiego kolegę i efekty tej akcji. Donosił, że historia trafiła już na szpalty wielkich gazet. Może właśnie ten list natchnął p. Trzcinkę nowym pomysłem. Wyobraził sobie, że kto jak kto ale właśnie prasa może skłonić Akademię Medyczną i rodziców chorego do przyzwoitego załatwienia sprawy. Niewiele dni później w „Głosie Robotniczym" ukazał się wysokolotny felieton Hendryka, malowniczo ukazujący dramatyzm całej akcji, który w założeniu miał zawstydzić Klinikę AM. Cóż jednak ze szlachetnych intencji, kiedy osoby, do których felieton był adresowany zrozumiały go jako „wyraz uznania dla prowadzących akcję"? Tak więc Akademia Medyczna „nie poddała się" i nie zdołano nakłonić jej do tego, co wyżej nazwaliśmy przyzwoitym załatwieniem sprawy. Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli...

ZAKOŃCZENIE

MIMO WSZYSTKO SĄ TEŻ OCZYWIŚCIE W TEJ SPRAWIE I AKCENTY OPTYMISTYCZNE. CHORY ŻYJE I CIESZY SIĘ DOBRYM ZDROWIEM. STACJA SP7LC ZNOWU „DZIAŁA" W ETERZE. RODZICE CHOREGO NAWIĄZALI SERDECZNY KONTAKT Z TYMI, KTÓRZY URATOWALI ŻYCIE ICH SYNA. ALE: GRUDNIOWY ZJAZD PZK ZAKAZAŁ KATEGORYCZNIE PROWADZENIA AKCJI SPROWADZANIA LEKÓW. I JUŻ TERAZ NAWET W NAJCIĘŻSZYCH WYPADKACH BEZIMIENNI LUDZIE DOBREJ WOLI NIE BĘDĄ SZUKALI W ETERZE RATUNKU DLA BEZIMIENNYCH CHORYCH. KOMU TO ZAWDZIĘCZAMY? NA TO PYTANIE ODPOWIE SOBIE JUŻ SAM UWAŻNY CZYTELNIK NINIEJSZEGO REPORTAŻU.

Herbert von Karajan

(Dalszy ciąg ze str. 1)

na jest przedmiotem najwyższej troski ze strony władz, obiektem kultu wiedeńczyków, nas, obcych, zmusza jednak do kontemplacji, wciąga w specyficzny nastrój. A za tę ciekawość rzeczy minionych trzeba, naturalnie, płacić. Cenniki ustalają odpowiednie stawki za obejrzenie sarkofagu Wysoko Urodzonego Nieboszczyka, za widok z wieży katedry św. Stefana czy obejrzenie romańskiego ołtarza. Zrozumiałe, że skrupulatnie drenuje się kieszenie wrażliwych turystów — tak oto spieniężą się ogólnoludzkie wartości, w ten sposób eksploatuje się dorobek odeszłych twórców. Nie dziwię się temu, to tylko marginesowe spostrzeżenia, można przecież wybierać: albo zobaczyć srebrne zastawy Marii Teresy albo kupić sobie kilogram włoskich pomarańcz, ta sama cena.

Dzisiaj, po kilku miesiącach pobytu, dostrzegam w mentalności i charakterze wiedeńczyków jakże silne oddziaływanie całej tu namacalnej tradycji, z którą się współżyje na co dzień, do której odczuwa się przywiązanie, sentyment. Ten balast odciska się w przyzwyczajeniach, w stylu życia mimo zmienionych warunków i form bytowania. Już dawno zniknęły z ulic dorożki, konie można jedynie zobaczyć w hiszpańskiej szkole jazdy i przy furgonetkach piekarni Ankera (firma zachowała je w celach reklamowych), ulicami przelewają się potoki samochodów, ale pozostały przecież zacne staroświeckie piwiarnie i winiarnie z szynkwasami, pamiętającymi chyba Sobieskiego, ale muzyka starych mistrzów i teatr nieodkurzonych klasyków pozostały nadal niezastąpioną rozrywką i największym przeżyciem. Co do muzykowania, chapeaux bas; wystarczy, że jest tu Herbert von Karajan i opera. Muzyka i teatr w życiu wiedeńczyka zajmują miejsce tuż po jedzeniu i piciu, daleko przed luksusem. Piwo i wino prowadzą zwycięską rywalizację z nowoczesnymi napojami, bronią się z powodzeniem przed najazdem obcej cocacoli, którą, jak przypomina reklama, należy szybko wychylić, by tym owocniej pracować, a telewizja, zresztą bardzo kiepska, nie zastąpi miłej pogadanki nad kuflem czy szklaneczką w Augustiner-Keller. Na sjestę wiedeńczyk zawsze znajdzie czas.

Och, przyjemne jest i poczciwe to wszystko, spacer się nie dłuży, swoisty zapach ulic, placów i parków pociąga, nawet twardsze natury zniewala do życzliwego uśmiechu wyrozumiałości. Marsowe oblicza książąt z pomników nabierają miękkich rysów, srogie lwy i drapieżne orły na frontonach pałaców są tak łagodne, że chciałoby się je karmić jak spadające na ramiona gołębie, wszędzie pełno słońca, które kładzie się płomieniem na gzymsach, końskich łbach i sfałdowanych sztandarach wojowników. Ta historia, przypominam sobie co chwila, jest zapisana do końca, martwa, ale zastygła w kształtach i imionach, wywołujących raz po raz znajome zdarzenia. Współczesna Austria z 83.850 km kw. i blisko 7 mln. mieszkańców wchłonęła niegdyś wiele narodów, kawał naszej smutnej historii splótł się z losem tego państwa, ilu Polaków, Czechów i Kroatów pozostało na zawsze nad modrym, nad pięknym Dunajem. Czuli się tu rozmaicie, nie wszyscy z nich powtarzali zapewne słowa Norwida: „I żyjemy jak w domu... tylko dom zmyślony". Wystarczy zajrzeć do książki telefonicznej, odczytywać nazwiska z szyldów, posłuchać farsy wiedeńskiej, gdzie wszystkie nazwiska woźnych urzędów są czeskie, jak np. ów popularny Worpschalek (naturalnie, już przez **sch**). Mówi się zresztą tutaj, że nie znajdziecie trzech wiedeńczyków, jeden zawsze pochodzi z Czech. Właśnie ta mieszanka narodów, skupionych w dawnej monarchii, krew słowiańska i węgierska, urobiły jakiś odmienny charakter. Są inni od Niemców mimo tego samego języka. Odczuwa się to szczególnie w Wiedniu, który scala te wszystkie elementy i właściwości, słowiańską fantazję i gościnność, węgierski „Paprika-Temperament" oraz lokalny sentymentalizm. Ten dar przemiany i asymilacji jest typowy i wyrazisty, być może, że to jedna z nielicznych trwałych wartości, jakie pozostały w spadku po dawnych czasach.

Naturalnie, są i ślady po nas. Bo też któż nie bywał w „Widniu" od czasów Jana Sobieskiego. Niewielki to wprawdzie powód do dumy, ale imć Kolszycki, Polonus z wojsk Króla Jegomości, pewnie obozowy ciura czy kuchcik, założył tu pierwszą kawiarnię i przyzwyczaił wiedeńczyków do picia kawy (już to w trunkowych materyach semper w przodku byliśmy). Ci pierwsi przyjechali na koniu, w 1830 roku wysiadł tu z dyliżansu Chopin, a potem już drogą żelazną i samolotem. Działał tu Ossoliński, który uzyskał pozwolenie od bywania studiów wojskowych przez naszą szlachtę w militarnych szkołach, gromadził wspaniałe zbiory i uratował je dla Polski, na stałe osiadł ks. Konstanty Czartoryski i hr. Karol Lanckoroński, wielcy mecenasi kultury polskiej i austriackiej, przez wiele lat mieszkał i tworzył Tadeusz Rittner. A ileż wychodziło tutaj czasopism i gazet polskich, ileż guldenów puścili pankowie galicyjscy w hotelu Sachera, ile adresów wiernopoddańczych i ukłonów widziały gabinety dygnitarzy i salony arystokracji! Spoglądam uporczywie w matowe, obrzeżone barokowymi aniołkami lustra sal balowych i dyskretnych buduarów, nie widać nic, nie słychać szeptów, kroki, głosy, spojrzenia zastygły u plafonów. Nic już poza milczeniem. Lojalizm, kunktatorstwo, intrygi, skandale, miłostki, kariery, wielkie i małe, złudzenia...

STANISŁAW KASZYŃSKI

miasto

KRYSTYNA WOJTASIK

ABONAMENTY na II CENZUROWANYM

— Ty, popatrz, jakieś nowe papierosy. Ile kosztują?

Potem jeden z nich wyciąga pieniądze, płaci i za chwilę palą wszyscy trzej nie odchodząc nawet od lady. Inni zaciągają się przy stolikach i bujając się na anemicznych krzesełkach nie dostrzegają koleżanek stojących pod ścianami. Dziewczyny — myślą — phi, i tak zerkają ku nim czujne i łakome na każdy poufalszy gest z ich strony.

Pod koniec antraktu „Antygony" palarnia z bufetem Teatru Rozmaitości w Młodzieżowym Domu Kultury jest ledwie widoczna w kłębach tytoniowego dymu. Ale tu młodzież podobno czuje się u siebie; w Teatrze Powszechnym, gdzie rygory są surowsze, pali tylko w ustępach. Dziewczęta także.

* * *

Kuratorium: (okólnika c. d.) „Szkoły zobowiązane są do:

a) przesłania wiążącego, ilościowego zamówienia na abonamenty najpóźniej do dnia 22 września

b) wpłacenia odpowiedniej sumy za zamówione abonamenty pierwszej raty (21 zł) do dnia 6 X. 62, drugiej raty (18 zł) do dn. 31. I. 63 r. Dopełnienie w/w warunków umożliwi teatrom rozpoczęcie akcji przedstawień abonamentowych 1. października 62 r. i zakończenie jej 15 maja 63 r."

Szkoły: „Do dnia 4 lutego 1963 r. szkoła była tylko na jednym przedstawieniu w dn. 2 i 9 grudnia." „Wobec tego, że młodzież była tylko na jednej sztuce mam trudności z zebraniem drugiej raty. Wielu uczniów mi nie wpłaciło tłumacząc się nie wykorzystaniem wpłaty za pierwszą ratę". „Najpoważniejszym mankamentem wymienionej akcji jest to że do dn. 31 I. młodzież nasza była zaledwie na jednej sztuce." „Do półrocza odbyły się dwa widowiska, a kiedy odbędą się pozostałe cztery? Pod koniec roku młodzież nie ma czasu i nie wykorzystuje biletów".

Teatr: Zamówienia na abonamenty w większości napływały po ustalonym terminie, może dlatego, że wiele szkół otrzymało okólnik Kuratorium z opóźnieniem lub nie otrzymało go wcale. Wpłat dokonywano jeszcze do połowy grudnia. W takiej sytuacji teatr nie był w stanie dokładnie zorientować się ilu uczestników liczy akcja, a więc ile przedstawień wypada mu przygotować. Trzeba było nawet czasem czynić przestawienia w planie repertuarowym teatru ze względu na konieczność pomieszczenia w nim wzrastającej w ciągu sezonu liczby przedstawień szkolnych. Poza tym utrudnił ogromnie działalność okres mrozów: z braku opału zamknięto Teatr Rozmaitości, w którym oprócz „Antygony" dawano montaże poetyckie, a nauczyciele stracili kontakt z młodzieżą z powodu przerwania nauki w szkołach.

Jeśli wpłaty za abonamenty w przyszłym sezonie otrzymamy w terminie, przy jednoczesnym, znacznie wcześniejszym niż dotąd, uzgodnieniu repertuaru z Kuratorium i szkołami, będziemy w stanie wystawiać sztuki przeznaczone wyłącznie dla młodzieży szkolnej. Wtedy odpadnie zarzut, kierowany pod naszym adresem, że teatry oferują szkołom to co grają „normalnie". Wówczas sytuacja się odwróci — sztuka wystawiona dla młodzieży będzie mogła być pokazana i dorosłemu widzowi, jeśli go zainteresuje. Notujemy również pretensje odnośnie doraźnych terminów przedstawień abonamentowych. Szkoły, zwłaszcza zawodowe, w których w godzinach popołudniowych odbywają się zajęcia warsztatowe, chcą przychodzić do teatru w niedziele i święta. Rozumiemy, że postulat ten uwarunkowany jest rzeczywistymi potrzebami, niejednokrotnie wizyta młodzieży w teatrze w godzinach zajęć dezorganizuje te zajęcia, jednak z drugiej strony musimy stwierdzić, że nie stać nas po prostu na niedzielne i świąteczne popołudniówki ze względu na dodatkowe płace dla aktorów i personelu technicznego. Najtrudniej nam uwzględniać żądania nauczycieli dotyczące zmiany terminów spektakli, wypływające oczywiście z najsłuszniejszych racji, ale dezorganizujące normalną pracę teatru. Dlatego słuszne byłoby, aby uniknąć wszelkich pretensji i niespodzianek w sprawie terminów, wprowadzenie abonamentów zawierających ściśle oznaczenie tychże na pół roku naprzód. Będzie to ułatwieniem dla szkół a ścisłym zobowiązaniem dla teatrów, które, przyznajemy, nie zawsze w pełni wywiązują się ze swego zadania w tym względzie. Zdajemy sobie przecież sprawę z ważności sprawnego funkcjonowania organizacji całej imprezy, która od tej strony cierpi właśnie najwięcej, lecz mimo wszystko się rozwija. W ub. r. uczestniczyło w niej około 17 tys. młodzieży, w roku bieżącym już ponad 30 tys. na 42 tys. uczącej się młodzieży. (W Warszawie, która wzorem Łodzi zorganizowała u siebie akcję abonamentów teatralnych, zostało w nią wciągniętych zaledwie 10 tys. osób). Są wprawdzie szkoły, które nie chcą korzystać z abonamentów — niekiedy decyzja ta jest spowodowana niemiłymi doświadczeniami w tym zakresie lub poglądem, że „gromadzenie na sali teatralnej wyłącznie młodzieży powoduje brak skupienia, porządku, ciszy i nie wpływa na wytworzenie nastroju jaki winien cechować widownię na przedstawieniu" — na własną rękę organizując wyprawy do teatru. Ale wiemy dobrze, że przed wszczęciem akcji szkoły rzadko odwiedzały teatr, a z drugiej strony w pewnym okresie teatry w ogóle nie grały sztuk dostępnych dla młodzieży, co zresztą stało się przyczyną powołania akcji abonamentowej do życia.

Akcja ta powinna być utrzymana. Tego samego zdania jest i kurator Woźniakowski. Stawia on jednak warunki: należy ustalić dokładny „kalendarzyk sztuk", prelekcje winny być na wysokim poziomie, a również ciekawe, inaczej są zbędne i lepsze byłoby wydawanie programów z objaśnieniami o autorach i epoce i rozsyłanie ich do szkół przed spektaklami. Dotyczy to przede wszystkim montaży poetyckich, które winny „przybliżać pewne zjawiska literackie". Sztuki dla młodzieży należy przygotowywać z równą starannością jak dla widza dorosłego, zwłaszcza jeśli chodzi o wykonanie aktorskie — bo tylko w ten sposób można uczniów zapoznać z dobrym teatrem. Dla szkół zawodowych trzeba koniecznie wygospodarować poranki lub popołudniówki niedzielne lub świąteczne, a największe nasilenie spektakli abonamentowych winno mieć miejsce w październiku i listopadzie; spektakle, których młodzież nie zdąży obejrzeć, teatr „odda" w następnym sezonie (w br. I półrocze zostało „zawalone" więc warunek ten może znaleźć praktyczne zastosowanie); następnie, aby zacieśnić więź między teatrem a młodą widownią, trzeba pomyśleć o organizowaniu spotkań z aktorami, reżyserem, czy scenografem danej sztuki (mogą one zastąpić prelekcje), a nawet każda szkoła mogłaby mieć „swój teatr", z którym utrzymywałaby tego rodzaju kontakty.

* * *

Z obu zainteresowanych stron padło tyle projektów, że właściwie niewiele mamy do dodania, poza położeniem nacisku na potrzebę całkowitego skorelowania potrzeb szkoły z możliwościami teatru, popartego dobrą wolą wszystkich, a przede wszystkim teatru, gdyż szkoły są raczej stroną żądającą. Są klientem niezbyt wprawdzie wygodnym dla teatru, wymagającym i raczej niedochodowym, ale w przyszłości dla teatru opłacalnym i wymagającym z przyczyn uzasadnionych. I tu mamy zbieżność, jeśli tak można powiedzieć, interesów — chodzi po prostu o młodzież. Z tego punktu widzenia akcja abonamentów teatralnych jest słuszna i pożyteczna, a przy owej dobrej woli, o której tyle razy była już mowa, połączonej ze zdrowym rozsądkiem, sprężystością organizacyjną i sumiennością w dopełnianiu zobowiązań, przestaną ją zapewne utrudniać wzajemne pretensje, kwasy i dąsy, a nade wszystko złe przedstawienia. Akcja abonamentów teatralnych dla szkół jest kosztowna i trudna, ale piękna — niech trwa.

Poeci

BEAT-GENERATION

PETE BROWN

ROZMYŚLANIE

Nigdy bym nawet
nie pomyślał o tym
by grać na trąbce
w środku nocy

To mogłoby ich obudzić
a oni są spragnieni snu
i mogliby się rozzłościć
a złość im szkodzi

ALLEN GINSBERG

MANDALA

Bogowie tańczą na swych własnych ciałach
A nowe kwiaty Śmierć zapominają
Oczy nieba na ból już nie patrzą
I widzą wesołego Stwórcę
A wzniesione trąby chcą świat przyjąć hymnem
I flagi i sztandary powiewają
W końcu jeden obraz pozostanie
Wieczność miriadooka
Oto jest Praca
Oto jest Wiedza
Oto jest Koniec człowieka!

KENNETH SLADE ALLING

MONSUN

Spacer w deszczowej poświacie
Z powrotem
W deszcz
Do dżdżystego miasta.
To nie było przeznaczenie,
Gorączkowe
Szukanie końca.
To była jazda w gharri
I zapach bazaru,
Co został z tobą.
To nie była dziewczyna,
To był stary koń
I gharri-wallah,
Który wziął twoje anny.
Za anny kupić można więcej
Niż za rupie tamte,
Co radość dawały.
I deszcz na gharri do miasta wjechał,
A gharri-wallah znowu czekał
Na pasażera.
Ty jesteś deszczem, na który
Czeka twoje miasto,
Miasto w mieście,
Wielkie miasto, co jest tylko
Podmiejską okolicą
Twojego trudnego miasteczka,
Dokąd gharri wiezie ciebie powoli.

przełożył ROMAN GORZELSKI

TADEUSZ PAPIER

HOLZ otrzymał satysfakcję

Bernard Sztajnert w karykaturze Ibisa-Gratkowskiego.

BERNARD SZTAJNERT urodził się w roku 1927 w Łodzi. W czasie wojny więzień Pawiaka i obozu koncentracyjnego. W 1952 roku kończy filozofię na UŁ. Wydał „Chwila ahistoryczna" (wiersze) „Tajemnica Maksa Hellera" (opowiadania), „Narodziny Brunona Bundera" (powieść), „Ulica Wilcza" (powieść), w druku „Odwrócony kamień" (tom wierszy).

Ojciec Brunona Bundera umarł w getcie, tysiące, dziesiątki tysięcy Bunderów zginęło, Holz również zginął, pamiętnik Holza przepadł w ruinach, albo w ogniu, filozofia ulicy Wilczej zamknęła się w gorzkim doświadczeniu, że wszędzie są wilki — na wszystkich ulicach chcą gryźć, „chociaż nie na każdej rosły drzewa i nie na każdej żył Szmurek uczący miłości, od dechu i myśli." Brulion Holza zaginął, ale oto Bruno Bunder podejmuje jego myśl i pisze drugi brulion. Bruno nie pozwoli aby zaginęła pamięć Holza, aby zaginął obraz ojca oszukiwanego przez Kellermanów, obraz matki ratującej swoje dzieci w samym gnieździe wilków, obraz głodnego Żyda jedzącego surowe ryby i okrzyki ludzi z ulicy „nie bijcie go Żydzi, on jest głodny". — Bruno zapisał wszystko, co złe i co dobre, co podłe i co szlachetne, zapamiętał potwornych ludzi o szczurzych umysłach i szczurzych sercach, świat, który dziś wydaje się światem nierealnym, tragiczną groteską, w którym garbaci krzyczą, że się wyprostują, a normalni ludzie tracą swoją godność, w którym wszystko urządzone jest na opak, przemieszane kryteria moralności i nad wszystkimi ciąży nieubłagany wyrok zagłady, i w tym wyroku fałszywa furtka zawarta w makabrycznym pytaniu „po co im tyle trupów?" Ta furtka każe iść na kompromisy i poniżenia, „wszyscy wyrażają zgodę na karę śmierci i mimo gorącego przekonania o jej słuszności zgadzają się jednocześnie ze słusznością darowania tej kary" po to tylko, aby przed nieuchronną śmiercią przejść jeszcze jeden stopień poniżenia. Taka jest najprostsza filozofia władzy wilczej, władzy w gruncie rzeczy tyle okrutnej co słabej, bo opartej wyłącznie na prymitywnych aktach przemocy fizycznej, na wielkim oszustwie; Bruno Bunder wcześnie zrozumiał, że ich siła była oszustwem. Ale czemu ci gestapowcy gotowi do bicia po twarzy, do szperania w cudzych kieszeniach, „czemu tak wzrośli, czemu tak się wydęli?... czemu gestapo, będąc pozorną tylko siłą, potrafi zadawać rzeczywistą śmierć?" Bohaterowie Sztajnerta szybciej otrzymują śmierć niż uzasadnienie wyroku śmierci. Brama śmierci jest dla nich z góry przeznaczona, nikt się nie pyta, za co, dlaczego, jest to schemat świata strasznego, ale świata wymyślonego, szaleństwo, które, bohaterowie powieści wierzą w to, prędzej czy później się skończy.

Nad opowieścią Sztajnerta unosi się stale piętno tragizmu, jakaś specyficzna neuroza lękowa, która na każdym kroku każe się spodziewać katastrofy. Przecież jednak bohater powieściowy postawiony jest wobec tych wszystkich rzeczywistych i nierzeczywistych okropności w wyjątkowej sytuacji. Mówić o męstwie Brunona według platońskiej definicji to za dużo. Mówić o odwadze to za mało. Bruno Bunder jest poza męstwem i poza odwagą. Bruno jest poddany tym samym poniżającym doświadczeniom, którym podlegał jego ojciec (do ostatniej chwili poznający gorycz i zakłamanie życia). Ale wobec tych wszystkich doświadczeń Bruno zajmuje postawę odrębną. Inną niż Holz, inną niż Szmurek, inną niż sąsiedzi ojca skazani na śmierć. Bruno jest przesłuchiwany, a mimo to on przesłuchuje; Bruno jest sądzony, a mimo to Bruno osądza. Bruno od początku do końca ocenia, to nic że Bruno jest prawie dzieckiem. Bruno ma oczy otwarte szeroko — patrzy, zapisuje, pamięta. Nawet wówczas, kiedy gestapowiec bije go po twarzy i rzuca o ziemię, Bruno zachowuje tę postawę sędziowską. Ani na chwilę nie przestaje być sobą. Ani na chwilę nie poddaje się szantażowi. Jest we władzy zwierząt, ale zwierzęta są bezsilne wobec niego. Jedynym wyjściem z tej sytuacji dla zwierząt było zadawanie śmierci. Jedynym ratunkiem dla Brunona zachowanie swojej wewnętrznej niezależności.

Ale istota prozy Sztajnerta, nie polega na „odkrywaniu" świata. Świat już dawno przestał być tajemniczy, zwłaszcza ten świat z ulicy Wilczej; mechanizm funkcjonowania świata wilczego został odcyfrowany i historia rodziny Bunderów, która żyła pośród ludzi o szczurzych sercach, nie budzi sensacji; jest równie banalna, co wstrząsająca. Od strony socjologicznej można odpowiedzieć na pytanie, jaki jest świat Brunona Bundera. Jaka jest ulica Wilcza, na której ścierają się dwie wzajemnie wykluczające się cywilizacje: Bunderów, Holzów, Szmurków i z drugiej strony Brandtów. Pomiędzy tymi kręgami nie ma i nie mogło być języka porozumienia. Są tylko umowne znaki, które ułatwiają administrowanie. Sztajnert stwierdza ten fakt, po miliony razy udowodniony we wszystkich Majdankach i Oświęcimiach. I poprzestaje na tym stwierdzeniu. I dlatego w prozie Sztajnerta na pierwszy plan wybija się nie zawartość treściowa, ale sposób jej przedstawienia. Kolejne fakty, wydarzenia, obrazy, służą nie tyle zbudowaniu zwartej fabuły, ile wydobyciu odpowiedniego nastroju. Proza Sztajnerta jest wieloznaczna, można ją w różny sposób interpretować, na płaszczyźnie dosłownego znaczenia także. Jednakże książka przemawia przede wszystkim nastrojem. Niepokój, jak w kafkowskim opowiadaniu, towarzyszy stale czytelnikowi. Ten nastrój ustawicznego niepokoju mówi najwięcej o koszmarze rzeczywistości w cywilizacji wilczej.

Bernard Sztajnert. „Ulica Wilcza". Wyd. Łódzkie. Str. 149. Cena zł 11.

Sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

Ryk lwa i świergot wróbli

Doszło już do tego, że oseski zaczynają mnie pouczać, jak to w Łodzi było przed wojną. Oczywiście przed ostatnią czyli drugą wojną światową, zapominając, że ja znam i pamiętam Łódź nie tylko sprzed drugiej, ale i sprzed pierwszej wojny światowej, że urodziłem się w niej jeszcze jako poddany miłościwie panującego nam wtedy cara Mikołaja II, a potem jeszcze miłościwiej panującego nam Wilhelma II, a potem... no, jednym słowem, jakby powiedział Boy, z czym do gościa?

To chyba komicznie wygląda, kiedy w odpowiedzi polemicznej Redakcja „Odgłosów" bierze przede mną w obronę Łódź powojenną i przypomina mi, jaka to nędzna była ta Łódź przedwojenna i dlaczego? Ależ. Mili Koledzy, toć ja wyrosłem z tej nędzy, odczuwałem ją przez całe swoje smutne, bo sieroce dzieciństwo, i trudną, bo bezdomną młodość na własnej skórze, tę nędzę, o której Wy wiecie zaledwie ze słyszenia, bo niektórzych z Was szczęśliwie nie było wtedy jeszcze na świecie, a inni z Was, jeśli już wtedy byli, to nie w Łodzi. Więc jakże: Wy mnie o tej Łodzi, zamiast ja Wam o tym moim rodzinnym mieście, o którego tragicznej nędzy i złowrogiej brzydocie oraz ich przyczynach pisałem w artykułach i wierszach, tak często konfiskowanych i szykanowanych w owym dwudziestoleciu przedwojennym? Powiecie, że pisali także inni. Owszem, ale nie w takiej ilości i nie z pozycji syna robotniczego tego miasta. Wybaczcie patos i dumę, której się nie wstydzę, kiedy o tym mówię. To nie megalomania, to zwykła ludzka duma, do której mam prawo, bo ja w tym mieście i o tym mieście pisałem nie pod wpływem chwilowego nastroju, lecz pod wpływem doświadczenia całego życia, przecierpianego, za tak powiem, w tym mieście. Ja pierwszy i jedyny, jak dotąd, w dziejach naszej poezji napisałem osobny i całkowicie poświęcony temu miastu tom wierszy: „Krzyk z miasta" w roku 1929. Prawda, pisali przede mną wiersze o Łodzi, o jej nędzy — Artur Gliszczyński, Witold Wandurski, a po mnie Władysław Broniewski (jego słynna „Łódź" z roku 1932) i inni, ale były to tylko gorzkie impresje przelotnych, że tak powiem, turystów. Prawda, pisał Julian Tuwim, olśniewający meteoryt naszej poezji, ale dopiero na emigracji w Brazylii w latach ostatniej wojny dał pełny obraz nędzy łódzkiej, przeważnie lumpenproletariatu i drobnomieszczaństwa z czasów swojej młodości, a więc sprzed pierwszej wojny światowej czyli z czasów niewoli carskiej. Mój „Krzyk z miasta" pozostaje tedy jedynym w poezji wyrazem i obrazem Łodzi proletariackiej z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Mnie zatem nie trzeba pouczać, czym była Łódź wczorajsza i czym jest Łódź dzisiejsza. Ja te ogromne zmiany i różnice znam i doceniam, bo przecież sam w ich powodowaniu na wąskim odcinku kultury brałem udział. Negowałbym więc własne — w swoim bardzo skromnym zakresie — dzieło, gdybym tym niewątpliwym zmianom i tym jaskrawo widocznym różnicom na lepsze zaprzeczał: Ale chciałbym, żebyście mnie, Drodzy Koledzy, właściwie zrozumieli, jeśli ja krytykuję dzisiejszą Łódź, to nie z pozycji negowania tego, co w niej już jest dobrego, lecz z pozycji pragnienia dla niej jeszcze lepszego. To chyba miłość do tego miasta tak związanego z każdym momentem mego życia wzbudza we mnie tę niecierpliwą chęć przyśpieszenia jego rozwoju ku lepszemu. Chciałbym, zanim jeszcze zamknę powieki, zobaczyć Łódź piękną i szczęśliwą, pierwszą po Warszawie, ale jako ośrodek kultury, przodujący w postępie cywilizacyjnym, wzór i przykład dla całego kraju, dumę ojczyzny ludowej. Niechby była jako magnes przyciągający do siebie wszystko, co najlepsze w kraju. Przecież już były takie heroiczne momenty w jej historii, kiedy Lenin mówił o niej, że przoduje w rewolucji, kiedy ciągnął do niej Reymont, Żeromski, Strug, Miciński, Leśmian, Schiller, Zelwerowicz, Adwentowicz, Wysocka, Jaracz, Władysław Strzemiński, nie licząc pleiady głośnych uczonych, polityków, publicystów. Dlaczegóżby z tych

Dalszy ciąg na str. 8

Ryk lwa i świergot wróbli

Dokończenie ze str. 7

momentów nie można uczynić stałej reguły?

A co my widzimy obecnie? Kto z naszego miasta odchodzi — to Bóg z nim. Ale kto odchodzi, z żalem i goryczą, to już inna sprawa, nad którą trzeba poważnie się zastanowić. To jedna strona medalu, a druga: odchodzą ludzie wartościowi także z innych miast, ale w jakiej proporcji w stosunku do tych, miast przychodzą? Skuszankę i Krasowskiego może w Krakowie zastąpić Dąbrowski i Białoszczyński, ale Chojnacką i Dejmka w Łodzi kim zastąpić? Kto przybył do Łodzi z równej im rangi artystycznej? Jeżeli te ubytki nie są alarmujące, to dlaczego Teatr Nowy w Łodzi stracił rangę pierwszego teatru w Polsce? Warszawa wtedy „na Dejmka" przyjeżdżała do Łodzi, a nie jak obecnie Łódź „na Dejmka" do Warszawy. Czy to jest postęp, czy regresja? A weźmy teren muzyki? A teren wyższych zakładów naukowych? Także i ten wspomniany przeze mnie „napływ wiejskiego elementu w granice naszego miasta" źle został przez Ciebie, Drogi Redaktorze „Odgłosów" zrozumiany. Nie chodzi o to, żeby chłopów nie wpuszczać do miasta, tylko o to, żeby ich, wpuściwszy do miasta, dostosować do jego poziomu, a nie poziom miasta do nich. Podobnie i to nieszczęsne Wydawnictwo Łódzkie powinno się dostosowywać do poziomu i amplitudy, że tak powiem, możliwości twórczych łódzkiego środowiska pisarskiego. I to byłby postęp. A jest, jak wiemy odwrotnie. Kierownictwo Wydawnictwa Łódzkiego daje niedwuznacznie do zrozumienia, że łódzkie środowisko literackie powinno swoje możliwości i ambicje pisarskie dostosować do jakże przecież wąskich ram jego profilu i planu wydawniczego. A ogłaszanie w prasie kłamliwych wywiadów na temat słabości twórczej łódzkiego środowiska pisarskiego? Czy to jest prowincjonalizm? Jest i to właśnie typowy. Jedna książka taka — rzeczywiście cenna — jak prof. Bogdana Baranowskiego „O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach", która może być czytana w całym kraju, nie zrekompensuje szkody, jaką wyrządzają opinii Wydawnictwa Łódzkiego szeregi takich martwych cegieł, których nikt absolutnie nie czyta i czytał nigdy nie będzie, jak Adama Leśniewskiego „Łódzka organizacja Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" w latach 1945—1948" (zł 30, nakład 1000, ilość ark. 14,6). Przecież na użytek najwyżej chyba stu zainteresowanych w Polsce tą „kobyłą" przyczynkarską wystarczyłoby odbić ją na powielaczu, a nie marnować tony tak drogocennego papieru, którego nie starcza na inne, bardziej wartościowe i pokupne pozycje. Obliczcie, ile Wydawnictwo Łódzkie dopłaca do tej „chały", skoro samo honorarium autorskie wynosi chyba więcej, niż suma ze sprzedaży całego nakładu. A przecież te 1000 egzemplarzy nigdy, jak nas informują księgarze, nie będzie sprzedane. Są to pieniądze wrzucone po prostu w błoto. To przecież szkodnictwo nie tylko kulturalne, ale i gospodarcze. Tymczasem w sekretariacie łódzkiego oddziału ZLP leży jedenaście skarg pisarzy łódzkich, którym Wydawnictwo Łódzkie odmówiło wydania ich dzieł, owocu wieloletniego nieraz ich trudu twórczego. Mnie samemu, choć w przyszłym roku przypada 40-lecie mego pisarstwa, Wydawnictwo Łódzkie odmówiło wydania trzech książek: zbiorowego tomu wierszy, tomu szkiców krytycznych i sylwetek literackich od Norwida i Wyspiańskiego po Staffa, Lechonia i Gałczyńskiego (także łódzkich z Tuwimem na czele) oraz tomu szkiców z podróży (Francji, Włoch, Szwajcarii, Jugosławii, Węgier i Rumunii). Czy taka beztroska nonszalancja wobec najstarszego w naszym mieście pisarza-łodzianina nie urabia złej opinii o hamującym wpływie Wydawnictwa Łódzkiego na rozwój i rozrost twórczości pisarzy łódzkich? Stosunek do publikacji Oddziału Łódzkiego ZLP „Osnowa" to znów osobna strona tej hamującej roli Wydawnictwa Łódzkiego.

To wszystko przecież znane jest dobrze Redakcji „Odgłosów", więc o co chodzi? Nie sztuka ganić Łódź przedwojenną — a powojenną chwalić. Przedwojennej Łodzi należy oddać, co do niej należy, bo przez jej absolutną negację nie zakryje się braków Łodzi powojennej. Dzieła naprawy tych braków nie dokona się generalną chwałbą, lecz szczegółową i rzeczową krytyką. Co prawda — chwalba jest miła, chwalba przypomina świergot wróbli, a krytyka jest przykra, bo przypomina ryk lwa. Ale parafrazując znany aforyzm Karola Irzykowskiego można by powiedzieć, że „świergot tysiąca wróbli nie zastąpi ryku jednego lwa".

Rzecz w tym, że w ostatnich latach z Łodzi coraz częściej odchodzą lwy, a zostają w niej coraz głośniej świergocące wróble. Widzisz więc, Droga Redakcjo „Odgłosów", że ani Rzym, ani Krym nie mają z tym nic wspólnego, choć się między sobą rymują, ale nie rymują się absolutnie z tym wszystkim, o co mnie — a i Tobie właściwie — chodzi. A ta drobna reszta nieporozumień? To furda...

MARIAN PIECHAL

Jeden LEW i pięć WRÓBLI

Polemika zespołu „Odgłosów" z naszym felietonistą Marianem Piechalem ma już swoją tradycję (kto ciekawiec zajrzy do nr 13 „Odgłosów" z br.). Fakt, że drukujemy felietony, z których te mi się nie zgadzamy, nie świadczy o naszej przesadnej tolerancyjności, ani o niezdrowej skłonności do sztucznego stwarzania sytuacji, w których pragniemy autorowi felietonów za wszelką cenę udzielać pouczeń. Ciągle mamy żywe poczucie, że precyzując nasze stanowisko — możemy przyczynić się do przemyślenia podstaw łódzkiego patriotyzmu u wielu czytelników „Odgłosów". Nie jesteśmy oseskami — mamy w naszym pięcioosobowym zespole i siwowłosego starca, i rodowitych łodzian i ludzi nieźle obeznanych z nędzą w przedwojennym łódzkim jej wydaniu. Oczywiście, nikt z nas nie może się pochwalić, jak to stwierdza o samym sobie na wstępie drukowanego powyżej felietonu M. Piechal, aż dwukrotnymi narodzinami — raz za Mikołaja II, a raz za Wilhelma II, — Zresztą drobiazg, ważne że oba razy w Łodzi.

Stanowczo bardziej dla nas odpowiednia jest nazwa wróbli. To prawda, że „świergot tysiąca wróbli nie zastąpi ryku jednego lwa" — wcale jednak nie chodzi o ryczenie, chodzi o właściwą ocenę sytuacji w naszym mieście, a wróble, zwłaszcza wróble tak stare jak my, niejedno wiedzą. Nie opuszczając miasta nawet zimą, zaglądając przez szyby i wszędzie, jako swojskie szare ptaki życzliwie przyjmowani — dowiedzieliśmy się, że w Łodzi wyrasta obok starszego nowe pokolenie twórców w różnych dziedzinach sztuki. Chwytaliśmy w nasze wróble łapki ich książki i stukaliśmy w ich karty naszymi recenzenckimi dziobami. Bystrymi ptasimi ślepkami dostrzegaliśmy, że książki te szybko znikają z półek księgarskich, że są omawiane i cenione w całej Polsce. Przelatując przez teatralne sale dostrzegliśmy nowych aktorów, dostrzegliśmy renesans Teatru im. Jaracza, wydawało nam się, że Karol Adwentowicz znalazł godnego kontynuatora w kreacjach Mieczysława Voita. Dostrzegliśmy młodych dramaturgów łódzkich, których sztuki grane są w wielu teatrach w Polsce i niebawem poza Polską. Wszystko to nie zadowoliło nas, my także pragniemy, by w Łodzi było lepiej niż jest obecnie. Rozumiemy jednak, że uporczywe wytwarzanie sugestii o nicości tego, co już u nas powstaje i co już powstało, jest nie twórczym i samobójczym marnowaniem energii.

Obserwowaliśmy drogę odchodzących lwów, te groźne i silne zwierzęta są jak wszystkie wielkie koty niezwykle leniwe. Energię okazują tylko w bezpośrednim natarciu. Po nasyceniu głodu drzemią i wylegują się przez długie godziny. Z wróblami ma się sprawa inaczej. Są bezustannie czynne. Ich świergot jest cichszy od ryku lwa ale bezustanny. Pamiętajmy także, że lew, choć zwierz wspaniały i królewski, czuje się u nas obco. Wreszcie lew, chociaż w swych rodzinnych krajach bywa nazywany „panem z wielką głową", ma względny (w stosunku do masy własnego ciała) ciężar mózgowia znacznie mniejszy niż wróbel. Dlatego też rozważyliśmy w naszych niedużych głowach i zrozumieliśmy, że dzisiaj, kiedy przed organizacjami ZMS-owskimi stoi zadanie ustalenia dla młodzieży sugestywnego, atrakcyjnego wychowawczo wzorca młodzieżowego przywódcy i aktywisty, słuszną sprawą było wydanie książki A. Leśniewskiego „Łódzka organizacja Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" w latach 1945—1948". Nie możemy natomiast w żaden sposób zrozumieć twierdzenia, że książka prof. Bogdana Baranowskiego „O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach" jest jedyną cenną spośród u nas wydanych i jedyną godną czytania w całym kraju. Środowisko twórcze naszego miasta wyprodukowało wiele cennych i godnych czytania w całym kraju książek, a właśnie w sugestii o wyłącznych wartościach książki prof. Bogdana Baranowskiego dopatrzyć się można próby zdeprecjonowania dorobku łódzkiego środowiska pisarskiego.

Z Warszawy i innych miast nie przyjeżdżają teraz do nas „na Dejmka", przyjeżdżają jednak dość często, by zapoznać się z u nas obmyślanymi i pionierskio u nas wprowadzanymi formami pracy kulturalnej i społecznej. Nasze łódzkie koncepcje upowszechniania kultury były podnoszone i naśladowane. To w oparciu o nasze wzory inne miasta wprowadzają akcje teatralnych abonamentów szkolnych i dydaktycznie opracowanych przedstawień teatralnych. To w oparciu o naszą, łódzką inicjatywę i wzory, przygotowywana jest w wielu okręgach Polski tak ważna inicjatywa społeczno-obyczajowa, jak sprawa Społecznych Komisji Rozjemczych strzegących kultury i spokoju życia obywateli. Nie pozwolimy na zakorzenienie się kompleksu prowincjonalizmu. Nie jesteśmy gorsi od innych, nie jesteśmy gorsi od tych, którzy nas opuścili — to prawdy obiektywne i dostatecznie udokumentowane.

Przeciwni zarówno idealizowaniu rzeczywistości, jak i bezpłodnemu czarnowidztwu, krążymy wokół łódzkich domów i fabryk w słońcu nadchodzącej wreszcie wiosny — a lwy, lwy za nami nie nadążają — one przecież nie mają skrzydeł, nawet tak drobnych i szarych jak nasze wróble skrzydła.

RED.

Ostrożnie, lew!

Z niemałym zdziwieniem przeczytałem w poprzednim (13) numerze „Odgłosów" wypowiedź tow. Mariana Piechala pt. „Czy Łódź jest prowincją?" Zadziwiająca jest w nim dysproporcja między ładunkiem emocjonalnym, jaki autor włożył w swe rozważania, a ich nielogicznością. Kapitalnym przykładem argumentacji, najskromniej mówiąc, niedorzecznej, jest przytoczenie szeregu nazwisk pisarzy, którzy opuścili Łódź przed pierwszą wojną światową i w pierwszym okresie dwudziestolecia dla udowodnienia tezy, że w Łodzi obecnej nie ma rzekomo atmosfery dla działalności wielkich — na miarę piechalowską — talentów. Nb. przykład z Tadeuszem Micińskim, jakim posłużył się autor, jest podwójnie zabawny. Znakomity autor „W mroku gwiazd" opuścił przecież miasto, w którym nie mógł znaleźć pola „dla rozwinięcia skrzydeł swego talentu", jak powszechnie wiadomo, w... piątym roku życia.

Tyle na temat „logiki" i „ścisłości" wspomnianego artykułu. Przyznam się, że czytając go, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że zarówno samo postawienie i ciągnięcie za uszy problemu, jak napastliwość tonu i zabawne krygi — dyktowało autorowi nie tyle umiłowanie Łodzi, co swojej własnej osoby oraz jego urazy osobiste i lekceważenie środowiska. Istotnie, w nowej replice Piechala na Wasz artykuł „Gdzie Rzym, gdzie Krym" wyszło szydło z worka.

Wolno Piechalowi kochać się w sobie, wynosić się nad innych, choć żałosny to widok, gdy autor „Małp w kąpieli" stale dyskontuje wyolbrzymiane zasługi przedwojenne przy skromnym, raczej dorobku powojennym — nie wolno jednak wprowadzać opinii publicznej w błąd. A tak przecież sprawa się ma, jeśli chodzi o stosunki Piechala z Wydawnictwem Łódzkim. Jak bowiem jest w istocie? Otóż nasze „nieszczęsne" Wydawnictwo wydało Piechalowi w r. 1958 tomik wierszy — „Ognie" oraz obszerny wybór wierszy — „Wiersze", a w roku 1961 tom satyr „Małpy w kąpieli". Prócz tego utwory i eseje Piechala drukowaliśmy szereg razy w wydawanym przez nas nieregularnie almanachu „Rzecz Poetycka".

W dniu 15. IV. 1959 roku. Wydawnictwo zawarło z Piechalem umowę na wspomnienia łódzkie pt. „Fabryka mojej matki", wypłacając mu zaliczkę w wysokości 10.000 zł. Niestety, Piechal nie wywiązał się z umowy w przewidzianym terminie, nie przedstawiając choćby przysłowiowej strony maszynopisu. Zmuszeni byliśmy więc umowę tę w dniu 2. 8. 60 r. rozwiązać. Przykładaliśmy jednak dużą wagę do tej pozycji, sądząc, że właśnie stary łodzianin, pełen przecież miłości do swojego miasta, napisze rzecz cenną, toteż nie zrażeni niepowodzeniem zawarliśmy 1. 3. 1961 r. nową umowę na książkę o podobnej tematyce pt. „Miasto nadziei", zachowując pobraną przez autora zaliczkę i dopłacając mu jeszcze 2.500 zł. Mimo, że zawarty w umowie termin ukończenia książki był wielokrotnie przedłużany i termin ostateczny, do którego wg. obowiązujących nas przepisów mamy prawo umowę przedłużać, dawno już minął, Piechal nie tylko nie złożył maszynopisu, ale nie był uprzejmy odpowiedzieć na nasze, grzeczne zresztą, monity, a nawet nie zwrócił pieniędzy.

No cóż, lew! Nie pozbawiony swoistej pikanterii jest fakt, że w informacji na temat własnej twórczości opublikowanej swego czasu w „Nowej Kulturze" Piechal skarżył się, że ma w biurku... dwie napisane książki wspomnień: „Fabryka mojej matki" i „Miasto nadziei" — ale kto i kiedy mu je wyda?

Jak widać z tego wszystkiego, wielcy ludzie nie muszą się liczyć ze swymi zobowiązaniami i z prawdziwością swoich oświadczeń. I tak przejdą do historii.

W świetle wywodów Piechala Wydawnictwo musi się dostosować do tego, co literaci (czytaj: Piechal) oferują. Niestety, my jesteśmy innego zdania i dlatego nie możemy ponowić wydania wyboru jego poezji, nawet z nieznaczną ilością nowych wierszy, skoro stary wybór nie tylko nie został wyczerpany, ale w dużej ilości egzemplarzy zalega składy Domu Książki. Nie mogliśmy też skorzystać z propozycji Piechala wydania jego przedwojennych rozpraw i artykułów polonistycznych, z których niejeden trąci myszką, a niektóre są po prostu informacyjnymi artykulikami rocznicowymi, pisanymi dla prasy codziennej. Innych propozycji nie mieliśmy.

Nie zamierzam brać w obronę pracy dr Adama Leśniewskiego „Łódzka organizacja Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" w latach 1945—1948", choć naszym zdaniem jest ona cennym wkładem w poznanie najnowszych dziejów naszego miasta i kraju.

Ale jakimże to argumentem udowadniającym mierność książki szermuje... „lew" logiki! Tym, że wyszła ona w nakładzie 1.000 egzemplarzy i rzekomo źle się sprzedaje? (nawiasem mówiąc książka ta dopiero przed kilku dniami weszła na półki księgarskie. Kasandryczne wróżby są przedwczesne).

A przecież wybór wierszy Piechala też wyszedł w nakładzie 1.000 egzemplarzy i od czterech, jak już wspomniałem lat, zalega składy Domu Książki! Swoją drogą atak tow. Piechala na literaturę społeczno-polityczną, zwłaszcza na dzieło poświęcone dziejom walki o oblicze ideowe młodzieży pierwszych lat kształtowania się Polski Ludowej, początkom ośrodka akademickiego w Łodzi i dziejom organizacji, która stała się kuźnią działaczy partyjnych i naukowych dużego kalibru — jest co najmniej dziwny.

Nie rozumiem żalów Piechala na temat almanachu „Osnowa" skoro publikacja ta jest w druku i niedługo się ukaże. Nie wiem też, w jakim to moim artykule czy wywiadzie przebija to rzekome lekceważenie przeze mnie łódzkiego środowiska literackiego! Nie kusiłem się nigdy o ocenę talentów naszego środowiska, pozytywnemu zaś stosunkowi do pisarzy łódzkich i wartości jego produkcji literackiej, daliśmy wyraz drukując 108 książek literatów łódzkich na 156 dotychczas wydanych przez nas utworów literatury pięknej, jakkolwiek nie jesteśmy, czego dotychczas nie może zrozumieć Piechal, ekspozytura Zarządu Łódzkiego Oddziału ZLP, lecz przedsiębiorstwem państwowym, działającym w ramach określonego i uznanego przez nas za słuszny profilu.

Wyraźnym natomiast lekceważeniem łódzkiego środowiska nie tylko literackiego, ale i, jak się łatwo można doczytać w artykule aktorskiego i naukowego oraz literackich tradycji Łodzi są obie wypowiedzi Piechala: Nikogo już — wynika z nich niezbicie — w Łodzi godnego uwagi nie ma, wszyscy wyjechali pozostał tylko On — reszta to wróble, napełniające niepotrzebnym zgiełkiem życie kulturalne naszego miasta i przeszkadzające Mistrzowi w kontemplowaniu własnej osoby.

ALEKSANDER POSTOŁOW
Dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego

ZBIGNIEW NIENACKI

UDANA PRAPREMIERA

Ostatnia premiera w Teatrze „7,15" — „Człowiek, który przyszedł w piątek" Arthura Watkyna — dała mi podwójną satysfakcję. Po pierwsze: teatr wystawił sztukę o dużym poziomie warsztatowym, a jednocześnie rozrywkową, zgodną z tylekroć dyskutowanymi swymi założeniami profilowymi. Po drugie: wystawił ją dobrze i zaprezentował miejscami doskonałe aktorstwo.

Bardzo lubię ten rodzaj dramaturgii, który reprezentuje Watkyn, angielski scenarzysta filmowy. Bezbłędna konstrukcja, pełna zaskakujących point i ciekawych sytuacji — zapewnia wielką przyjemność każdemu, kto lubuje się w twórczości „kryminalnej". Wybredni smakosze i znawcy tego gatunku literackiego nareszcie nie muszą z zażenowaniem oglądać nieprawdopodobieństw psychologicznych, od których aż roi się zawsze w tego rodzaju utworach. U Watkyna obserwujemy niezwykłą logikę wydarzeń, wynikających jedne z drugich, lecz jednocześnie niespodziewanych. Mamy prawdę psychologiczną i sporo humoru. Trochę prawdy obyczajowej — i w sumie dobry utwór sensacyjny, trzymający widza w napięciu od początku do końca. Watkyn — to dobra i uczciwa szkoła konstrukcji dramaturgicznej.

A przedstawienie? Wyreżyserowała je Maria Kaniewska, znany reżyser filmowy. Zaproszenie jej do współpracy w „7,15" — godne najwyższej pochwały. Wydaje mi się, że na tym bezrybiu reżyserskim, jakim w ostatnim czasie stała się Łódź, nasze teatry muszą śmielej sięgać po reżyserów pracujących w Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej, a także w łódzkich wytwórniach filmowych. Trzeba, żeby zaproszono do współpracy pana Kuźmińskiego (reżyserował w Częstochowie, zapewne zgodzi się reżyserować i u nas), można zaprosić Różewicza i innych. Jest to droga, która prowadzi do zażegnania reżyserskiego kryzysu w naszym mieście.

Maria Kaniewska nie wniosła do przedstawienia żadnych elementów filmowych, bo nie było to temu przedstawieniu potrzebne. Ale wniosła świeżość, dobre tempo, co jest istotne w utworze tego rodzaju. Świetne aktorstwo, przede wszystkim Janusza Kłosińskiego w roli Benetta, Stanisława Kamińskiego jako Pedro Juareza i Zbigniewa Jabłońskiego jako inspektora Malcolma — bardzo podniosło rangę całego spektaklu. Słowa uznania za grę należą się także Zofii Wilczyńskiej, Ryszardowi Stogowskiemu i Jerzemu Złotnickiemu. Nawet drobniejsze role, jak te które przypadły Stanisławowi Owocowi i Janowi Rudnickiemu — bardzo dobrze harmonizowały z całością przedstawienia. Miał ten spektakl dobry i co także jest ważne — jednolity styl, pół ironiczny, pół serio, doskonale oddany przez wszystkich członków zespołu.

Dekoracje Czesława Siekiery — proste, skromne, trafne.

W sumie: przedstawienie udane, godne polecenia najszerszej publiczności.

Arthur Watkyn. „Człowiek, który przyszedł w piątek". Komedia w trzech aktach. Przekład Stanisława Sielskiego. Reż. Maria Kaniewska. Scenografia: Czesław Siekiera. Prapremiera w Teatrze „7,15".

ROMAN ŁOBODA

Szofer zamknął maskę motoru, popatrzył ponuro i wsiadł do wozu.

— W porządku? — zapytał Karaś.

— Aha — powiedział szofer — i ruszył. Wóz zadygotał i potoczył się drogą. Na drugim biegu rury obijając się o siebie wydawały głos podobny do dalekich strzałów karabinowych. Karaś przyglądał się twarzy szofera. Twarz ta budziła w nim niechęć. Była ciężka, jakby niewykończona. Duży nos — dolepiony chyba — myślał Karaś. Grube wargi i zarost, silny, męski zarost. Zdaje się, że brutalna męskość kulawego drażniła Karasia. Nie lubił takich typów. Kobiety na poziomie Karasia właśnie w takich gustowały. Może to było przyczyną nieuświadomionej niechęci Karasia do szofera. Sam drobny i zręczny czuł mimowolny respekt dla potężnego chłopa, ale to jeszcze wzmagało uprzedzenie. Musiał jednak coś mówić. Chciał stłumić niepokój, który drążył go nieustannie. Zdawało mu się, że dobrze jest mówić, gdy nic nie można wymyślić. Szofer nie potrzebował mówić, on nie pragnął niczego wymyślić, zresztą, kto tam wie, może i pragnął, tylko jego twarz nie zdradzała tego.

— O czym pan myśli — zagadnął Karaś.

Szofer przesunął bez pomocy ręki tlący się papieros w drugi kąt ust. Nie spojrzał na Karasia.

— O tym skurwysynie — powiedział.

— O którym?

Szofer milczał. Wypluł ogarek przez okno. — Powiedz pan, czy zwierzę ma duszę?

Karaś podłubał w nosie. Zaskoczyło go to pytanie. Przypomniał sobie jednak, że nie ma.

— Nie — powiedział — zwierzę nie ma duszy, tylko człowiek.

— Nie pytam o człowieka — przerwał kulawy — ale o psa.

Pies to szlachetne zwierzę — powiedział Karaś — ale niestety nie ma duszy.

— Jest pan pewny?

— Tak.

— Więc ukatrupić psa, to nie grzech?

— No, chyba każde stworzenie...

— Pytam, grzech czy nie grzech — ciągnął uparcie szofer.

— Grzech to nie...

— To dobrze — powiedział szofer i zatrzymał wóz.

Skrzynie uderzyły o siebie, rury brzęknęły, pies z powolnego ale nieprzerwanego bulgotania przeszedł w głuchy charkot.

— Czego się pan gapisz — powiedział kulawy. — Wysiadaj pan.

Stali obok leja po bombie, dalej rozwalony dom i strzaskane drzewo.

— No, jazda, wysiadać — krzyknął.

Karaś wysiadł. — Po co — zapytał.

Szofer wyjął z kieszeni rewolwer i zarepetował.

Karaś poczuł nawrót mdłości, ale stał i patrzył prosto w oczy tamtemu. — Po co — powtórzył bezmyślnie.

Po drewnianej twarzy kulawego przemknęło coś, co można by, przy dużej dozie dobrej woli, nazwać uśmiechem. Powoli podnosił rewolwer w górę. Karaś stał w miejscu. Zresztą, gdyby nawet mógł już ruszyć się, ale nie mógł, gdyż lufa rewolweru podnosiła się jeszcze, to i tak nie mógłby się ruszyć, bo nogi miał zupełnie sztywne.

— Zdejm pan psa z ciężarówki — powiedział kulawy spokojnie, tak jakby mówił: — podaj mi ognia.

Karaś nie ruszył od razu, ale nie dlatego, żeby chciał się przeciwstawić kulawemu, tylko jeszcze nie miał sił. Kulawy czekał. Karaś podszedł na tył wozu, odryglował klapę i zawołał psa, Nim pies wyskoczył chwycił go za obrożę.

— Stań pan nad tym lejem — rozkazał szofer.

Pies prężył się, warczał i wyszczerzał zęby.

— Stań pan nad tym lejem — powtórzył szofer.

Karaś usłuchał. Stali z psem twarzą do ciężarówki i patrzyli w oczy kulawemu. Ten mierzył w psa. Karaś jedną ręką trzymał psa za obrożę a drugą podniósł do góry. Pies stał spokojnie, ale pianę miał na pysku i oczy krwią nabiegłe. Karaś zasłonił psa sobą. Bał się okropnie, bał się, ale to zrobił.

— Odsłoń pan psa — powiedział szofer obojętnie.

Karaś nie ruszał się. Stał jakby nie słyszał. Po twarzy spływały mu łzy. Wówczas kulawy zaklął i opuścił lufę rewolweru. Wsiadł do ciężarówki.

— Siadaj pan — powiedział.

Karaś stał i nie ruszał się z miejsca.

— Siadaj pan — powtórzył szofer — i zapuścił motor. Daleko na szosie ukazał się samochód. Karaś z psem podszedł do ciężarówki.

— Tego bydlaka puść pan, niech jeszcze trochę pożyje.

Karaś wgramolił się do szoferki. Wóz ruszył. Pies na szosie wściekał się i usiłował wskoczyć na ciężarówkę.

Samochód minął ich i popędził, zostawiając za sobą kurz i zapach spalonej benzyny. Ciężarówka nabrała rozpędu. Kulawy powiedział: — Już nie mogłem znieść tego bydlaka, jego charkot rozstroił mi nerwy.

Karaś wychylony oglądał się na szosę. Pies biegł. Szofer dodał gazu. Zaczął pogwizdywać.

Pies robił się coraz mniejszy, aż mały punkcik zniknął z oczu Karasia.

— Nie mogłem znieść tego bydlaka — powiedział kulawy — i dodał gazu.

* * *

Stanęli przed niedużym parterowym domkiem. Kulawy wysiadł i zastukał do drzwi. Karaś czekał siedząc w wozie. Drzwi otworzyła gruba kobieta w czystym fartuszku w kwiatki. Szofer kiwnął na Karasia, a gdy ten wyszedł z wozu, kulawy powiedział: — Z listem do chrześniaka — i odszedł. Karaś wszedł do czystej sionki. Słowa jego zagłuszył warkot odjeżdżającej ciężarówki. Więc ona powiedziała bardzo złym akcentem:

— Do męża?

— Tak.

— Z listem?

— Tak.

— Niech pan wejdzie bliżej — i otworzyła drzwi do pokoju.

Pokój był jasny i czysty. Na ścianach wisiały makatki, na dwóch łóżkach piętrzyły się poduszki przykryte ręcznymi robótkami.

— Proszę siadać — powiedziała po niemiecku.

Znał dobrze niemiecki więc odpowiedział: — Dziękuję — i usiadł na wyściełanym krześle z wysokim oparciem.

Zostawiła drzwi od pokoju otwarte, przeszła przez sionkę i otworzyła drzwi do kuchni. Wionęło na Karasia zapachami z kuchni i poczuł ból w kiszkach. Grdyka mu chodziła, co chwila łykał ślinę. — Jajecznica na słoninie — pomyślał i położył rękę na brzuchu, który był obolały jak po kopnięciu. — Jajecznica — pomyślał i zajrzał przez wąską sień do otwartej kuchni. Kobieta, tyłem do niego obrócona, stała i coś przewracała na patelni, bo słyszał gwałtowne skwierczenie i pryskanie tłuszczu. Westchnął głęboko. — Na słoninie — pomyślał — i grdyka skoczyła gwałtownie. Omal nie zadławił się własną śliną.

Na ścianie tuż nad głową kobiety wisiał wyszyty starannie napis: „Dobra gospodyni nigdy się nie leni". — Fakt — pomyślał i przełknął głośno ślinę. Może zbyt głośno, gdyż ona odwróciła się, a właśnie głos topionej słoniny nieco ucichł i powiedziała po niemiecku:

— Proszę siadać. — Wyszła zamknęła drzwi do kuchni i weszła w trzecie, które były na wprost wejściowych. Karaś usiadł. Oczywiście, że nie był zawstydzony, był na to zbyt głodny. Nawet był więcej głodny niż zmęczony. Po chwil wróciła do kuchni, ale już zamknęła za sobą drzwi. Karaś czekał. Piekły go oczy, czuł ból w kościach a nade wszystko w żołądku. Gdyby był Hektor, to może we dwójkę byłoby im lepiej, a tak... Wściekłość go ogarnęła. — Sukinsyn — pomyślał o kulawym — pies mu przeszkadzał. Jakiś niebezpieczny zboczeniec. Ubić takiego i byłby spokój! — Pomacał się po kieszeni. — Prawda, już w samochodzie zauważył brak rewolweru. Pewnie, gdyby go miał przy sobie, to nie bałby się tak kulawego. Kula-

Dalszy ciąg na str. 10

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

Hrabina nie pozwoliła sobie przerwać na długo.

— Nasz kuzynek Sanguszko, pan pewnie czytał w gazetach o Jerzyku, wygrał z Anglikami konkurs na rasowe konie, więc powiadam, że on też miał w dzieciństwie takiego guwernera jak pan, owszem, owszem, obiecująco, nawet lepiej niż tamten, a przecież tamten był przy... Izydorze, przy kim to był Franciszek?

— Przed Sanguszkami był u czeskich Lichtensztajnów.

Justyn poczuł się trochę nieswojo.

— Zrobię co będę mógł, pani hrabino — bąknął i wycofał się pod okno, gdzie stali obaj preceptorzy olszyńscy.

— Jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tego wszystkiego, powiedzcie mi, taka hrabina musi mieć krewnych na całym świecie, nie? Ze wszystkimi jest na ty.

Marek odwrócił się do okna.

— Nie tylko na tym świecie. Kiedy ci powie, że rozmawiała w nocy z Józiem, musisz wiedzieć, że miała Chrystusa na myśli. Ale ty robisz karierę, Gargantua zaprosił cię na dłużej, nie każdego prosi. Jak sobie dłużej tu posiedzisz, łatwiej zniesiesz więzienie w razie czego.

Za płotem, który oddzielał dworski świat od chłopskiego, bawiły się dzieci. Padał śnieg, na głowie bałwana czernił się stary garnek, marchew zastępowała nos, kamienie oczy.

— Żyją sobie na wolności, a my nie — Marek patrzył smętnie za okno.

Odezwał się znowu dzwonek, przez salon przeszła fala podniecenia.

— Co teraz będzie? — zapytał Justyn.

— Teraz będzie najważniejsze wydarzenie dnia, Izydor poprowadzi głodomorów do jadalni.

W tej samej chwili lokaj otworzył drzwi jadalni. Justyn dostrzegł długi stół, bogato zastawiony. Hrabina wygrzebała się z fotela, kilku panów zatarło nerwowo ręce, hrabia wskazał ręką na otwarte drzwi i wypowiedział sakramentalną formułę:

— Bądźcie państwo łaskawi, obiad na stole!

Goście zaproszeni na krótki czas, stare ciotki rezydentki, uciekinierzy z kresów którzy woleli mówić o Armii Czerwonej niż ją oglądać, wytrawni pieczeniarze dworscy, krewni, zasiadali do stołu wedle określonej hierarchii. Bliżej hrabiów — ważniejsze miejsca, dalej — mniej ważne. Ranga herbu, wielkość majątku i dochód obliczany na poczekaniu według ostatnich cen oraz osobiste stosunki z hrabiostwem, określały miejsce przy olszyńskim stole. Stosunki osobiste stanowiły czynnik kapryśny co prawda i zmienny, mogły jednak przeważyć pozostałe. Gryzelda Gębarzewska zasiadła po prawicy Wilczka, a przecież ani to herb przedni, ani poważny dochód.

— Gębusia jest ostatnią kochanką Gargantuy — wyjaśnił Marek — dlatego zajmuje krzesło numer jeden, ale nie wiadomo, jak on te rzeczy z nią robi. Przy Hortensji siedzi pod tym samym numerem tutejszy Casanova, pan Dębicki. Co drugą noc, o jednakowej porze, gładzi regularnie tę deskę. Marne zajęcie, ale można z tego wyżyć.

Przeszli na koniec długiego stołu. Konrad pochylił się w stronę Justyna.

— Musisz wiedzieć, że zaszczyt siadania przy hrabiostwie spada przede wszystkim na faworytów, dopiero potem idą herby. Dlatego taki gołodupiec jak Dębicki dostanie zupę przed Borodiczem, który jest autentycznym kniaziem. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, że nasz herb Tyzenhauzów nie ustępuje Wilczkom, a jednak siedzę na końcu. Czymże są prawa rodowe wobec praw płci?

Justyn chciał usiąść, ale Marek przytrzymał go za rękę.

— Tu jest miejsce dla ludzi nauki, to prawda, ale nie siadaj jeszcze, najpierw siadają hrabiowie i numery od jednego do czterech, my na końcu.

Z kolei Konrad chwycił Justyna za rękę.

— Popatrz, popatrz, co się dzieje! Zalesiańska Madam dostała krzesło numer trzy, poprzednim razem miała numer dziesiąty. Izydor weźmie ją chyba na kieł, zmiana warty przy brzuchu hrabiego. Będzie dobra checa, jak Gębusia zwęszy pismo nosem.

Justyn zacisnął wargi. Widział dokładnie z końca stołu, jak Izydor Wilczek zagadywał do Madam za plecami Gębusi. Madam miała na sobie ciemną suknię, smukłą szyję obwiązała sznurem białych korali. Jej szarosrebrne włosy tworzyły prawem kontrastu koronę nad wysokim czołem. Piękna, kocham ją — pomyślał, hrabia hrabią, ale Madam nie dostanie. Marek szeptał mu znowu do ucha.

— Bądź łaskaw zwrócić uwagę na tego kretyna w skórzanej kurtce, krzesło numer dziesięć, to sam Moryc Smiarowski, specjalista od tabliczki mnożenia, wygląda jełop jak Spinoza, a prędzej słonia nauczysz pisać na maszynie niż on zrozumie prawo Archimedesa.

— Przestań, jeszcze kto usłyszy...

— Martw się nie, obok nas siedzą tylko wygłodniałe ciotki, myślą tylko o żarciu, nic nie słyszą, ogłuchły już ładne parę lat temu.

Stół uginał się pod ciężkimi srebrami, po obu stronach uwijali się lokaje. Obaj nowo pozyskani przyjaciele sypali informacjami jak z rękawa. Justyn miał pełne uszy ich złośliwego szeptu.

— Ta tyka grochowa, owinięta różowym szalem, straciła niezłego chłopa, rzucił ją niedawno pan Bitny, był tu, kochał, a potem wziął i uciekł, a ona udaje złamaną lilię, idzie za kilka dni do niemieckiego szpitala, szkopom rany lizać, broni Europy przed bolszewikami...

— Jak się nazywa?

— Trzymaj się krzesła, to ci powiem. Lili Wereszczaka się nazywa, ładnie się Mickiewicz dorobił, co?

— Oni są wszyscy nienormalni, czy jak?

— Nie wszyscy, koło Lili siedzi pan Morawski, tęga głowa, pół świata zjechał. Krzesło numer siedem zajmuje pan Suliga, ma trzy doktoraty, Dorpat, Ryga, Wilno, ale Wilczków nie podjął się uczyć. Mądry gość!

— A ten z wąsikami?

— Ten wypłosz? To Serż Kmita, tworzy legion szlachecki, chce się wyprawić na Wileńszczyznę, tam są ich majątki, twierdzi, że pobije Armię Czerwoną, metodą Piłsudskiego, oni mają chysia na punkcie bolszewików, ale skończy się na wojnie z babami. Serż jest bardzo normalny, tylko głupi, jak ułan krechowiecki.

Do trójki przyjaciół podszedł wreszcie lokaj i podsunął na srebrnym półmisku cieniutkie plasterki cielęciny. Justyn rad by zgarnąć na talerz ze trzy, albo i cztery kawałki, ale powstrzymał go Marek.

— Jeden, rozumiesz? Tylko jeden! Weźmiesz więcej, to

Dalszy ciąg na str. 10

KORZENIE *obok* RZEKI

Dalszy ciąg ze str. 9

wego... a może by się i bał. Wstrętny typ. Zboczeniec! Pies mu się nie podobał. — Żal mu się zrobiło Hektora i siebie i w ogóle wszystkiego. Nie wiedział dokładnie czego jeszcze prócz siebie i Hektora, ale to nie umiejszało jego żalu.

Do pokoju wszedł łysy, krępy mężczyzna. Podniósł rękę i powiedział: „Heil Hitler", opuścił ją i stał patrząc przenikliwie w oczy Karasia.

Karaś powoli, jakby cały sufit z dachem i kominem miał na barkach, podniósł się i wybełkotał: Heil. Stali naprzeciw siebie. Niemiec patrzał i milczał, Karaś stał i bał się. Znów czegoś się bał. Niemiec stał i patrzał. Wreszcie wyciągnął rękę i powiedział:

— List! — Karaś prędko wyciągnął list i wręczył Niemcowi.

Ten powoli i dokładnie obejrzał kopertę i rozerwał ją. Czytał, poruszał ustami. Karaś przyglądał się tym ustom i dalej stał, chociaż do kominów dołożył ktoś jeszcze ze dwa i uwierało go to wszystko już nie tylko w barki, ale i w pośladki. Patrzał na poruszające się usta Niemca. Ten skończył, lecz wargi nadal poruszały mu się w twarzy szeleszcząc coraz głośniej, tak że Karaś, gdyby stał bliżej, usłyszałby: — Myślałem, że coś lepszego daje mi stary... — Spojrzał niechętnie na Karasia. Ten, gdyby stał bliżej, to pewnie usłyszałby, co mówi Niemiec, ale stał za daleko i dlatego powiedział: — Co?

— Nic — bąknął łysy zatrzymał wargi i usiadł. Karaś też usiadł, ale miał już pośladki obolałe i to siedzenie nie zrobiło mu większej ulgi. Ale siedział.

— Będziemy się kąpać — powiedział Niemiec, i uśmiechnął się. Miał zęby olśniewająco białe i równe. Ten uśmiech sprawił, że Karasia przestały boleć pośladki. Uczuł nawet coś w rodzaju wdzięczności. Gdyby był bardziej głodny, (czuł, że to jest niemożliwe, — ale gdyby) to kto wie czy nie rozrzewniłby się, może nawet zapłakał? Dość, że pośladki mniej go bolały, ale żeby tak całkiem, to chyba przesada. Dlatego powiedział: — To dobrze — i oparł się więcej na nogach i plecach.

— Dziś wieczorem.

— Dobrze — powiedział Karaś i zaraz pomyślał o jajecznicy.

Weszła w całej okazałości rozciągnięta na patelni i dymiąca — Zaraz przyniosę talerze — powiedziała, a Karaś przysiągłby w tej chwili, że jajecznica, ale to była żona Niemca i za chwilę wróciła. Piękne obłoki jajeczniczego oddechu przysłaniały wszystko, a nad tymi obłokami unosił się misternie wyhaftowany napis: „Dobra gospodyni nigdy się nie leni". — Otóż to — pomyślał Karaś, przysuwając talerz do siebie.

Są takie małe szczęścia w życiu człowieka, które przesłaniają na chwilę wielkie nieszczęścia. Może to dobrze, a może źle. Te chwile zmieniają człowieka, bowiem Karaś jedzący nie był już tym człowiekiem, co przed chwilą, Karasiem głodnym. Ale Karaś głodny był bliższy prawdy o swoim położeniu, chociaż głód nie pozwalał mu na jakieś wnikliwe spojrzenie na siebie. Fakt jednak, że Karaś jedząc jajecznicę przeżywał coś, co można by nazwać chwilowym zapomnieniem jest bezsporny. Karaś więc jadł nic nie mówiąc, gdyż było to dla niego doznanie pierworodne, a zatem całkowicie ogarniające.

Niemiec też milczał. Dopiero gdy zjedli powiedział: — Żona rozścieli łóżko, ja zbudzę na czas — i wyszedł.

Karaś aż tak był zmęczony, że nie mógł zasnąć. W domu panowała cisza. On leżał pod grubą pierzyną, z tępym uporem powtarzał w myślach: Dobra gospodyni nigdy się nie leni. — Później zaczął liczyć.

Zbudziło go szarpnięcie za ramię. — Otóż to — pomyślał i znów zapadł w próżnię rozkoszną, bliską omdlenia, czy nawet bezbolesnego konania.

Powtórne szarpnięcie było silniejsze. Tak silne, że aż wytrąciło go z bezczucia i spowodowało otworzenie oczu. Karaś utkwił je w łysego i dziwił się, że jakiś obcy człowiek, a nie matka, budzi go tak wcześnie, gdyż było zupełnie ciemno za oknem, na tle którego stał ów nieznajomy człowiek.

Powoli twarz stawała się coraz mniej nieznana, coraz mniej i Karaś zrozumiał, że jest znajoma; poczuł coś dotkliwie przykrego i powiedział:

— Idziemy się kąpać — i uśmiechnął się. Zdawało mu się, że mówiąc: „idziemy się kąpać" — wypada się uśmiechnąć. Ale zaraz przypomniał sobie swój uśmiech, zobaczył twarz łysego i prędko schował uśmiech jak fałszywą monetę własnej produkcji. Niemiec powiedział:

— Szybko, szybko — i odszedł.

Karasiowi znów coś niemiłego przeleciało przez głowę, ale już naciągał gacie i nogi nie mógł przepchnąć. Trok o trok się zaplątał. Rozplątał. Światło w pokoju było mizerne, ale znalazł pasek, skompletował całość garderoby i był prawie gotów, gdy wrócił Niemiec ubrany w kurtkę, cyklistówkę i buty z cholewami.

— Gotów — powiedział.

— Gotów — Karaś stał w marynarce.

— Aha — mruknął łysy i przyniósł starą wyszarzałą kurtkę. Była nieco za obszerna na Karasia, ale była.

Wyszli. Noc, właściwie wieczór był ciemny. Szli przez martwe miasto. Obcasy ich wydawały co najmniej dwa razy głośniejsze stuknięcia od tych, które powinny wydawać zdaniem Karasia, ale nic o tym nie mówił, gdyż wiedział, że takich obcasów nie mają. Szli więc i Karaś starał się stąpać na palcach. Wyszli za miasto i widzieli za rzeką zasieki z drutu. Przeszli przez mały lasek; potem, idąc wąską polną drogą, dotarli do krzewów pokrywających brzeg rzeki.

— Tu — powiedział Niemiec.

— Tu? — zapytał Karaś i poczuł drętwość w kręgosłupie.

Niemiec usiadł bokiem do rzeki i patrzył uważnie raz na dróżkę a raz na przeciwny jej brzeg. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Woda szumiała, była szara i Karasiem wstrząsnęły dreszcze. — Szczęście, że mam długie buty — myślał patrząc na wodę. Z daleka zbliżali się drogą jacyś ludzie. Szli nie za prędko, ale zbliżali się.

— Patrol — szepnął Niemiec.

— Tak — powiedział Karaś.

Dwóch żołnierzy Ochrony Pogranicza minęło siedzących. Poszli w dół rzeki. Niemiec spojrzał na zegarek, coś policzył i podniósł się. Karaś uczynił to samo. Pochyleni zesunęli się na sam brzeg wody. Nie sięgała wyżej cholew. Nisko zgięci dobrnęli do drugiego brzegu i położyli się na ziemi. Mieli przed sobą wzniesienie i dalej około stu metrów otwartej przestrzeni. Zrobiło się nieco jaśniej, gdyż księżyc wyszedł zza lasu. Karaś drżał na całym ciele nie wiadomo z zimna czy ze strachu, najpewniej z jednego i drugiego. Już zaczęli się czołgać, gdy z pobliskiego brzegu doleciało do nich dalekie szczeknięcie.

— Co się dzieje — mruknął Niemiec i odwrócił głowę. Szczeknięcie powtórzyło się wyraźniej. Karaś zadrżał nie wiadomo z zimna, ze strachu czy z radości. Poznał głos Hektora. Pies walił wprost na wracający polski patrol. Ci coś krzyknęli. Pies wpadł w wodę. Trzasnęło jak z bicza. Pies zakręcił młynka w wodzie, ale zaraz popłynął dalej. Trzasnęło drugi raz. Pies zanurzył się w wodę, wyskoczył w górę, zanurzył się jeszcze raz i prąd uniósł go w dół rzeki. Wopiści pobiegli brzegiem rzeki za psem, w ten sposób oddalając się od Karasia i Niemca. Za wzniesieniem coś załomotało, jakieś pośpieszne kroki oddalały się od nich w tym samym kierunku.

Karaś drżał cały. Oczy miał pełne łez. Chciał wstać i również pobiec w dół rzeki, ale drżał i nie mógł się podnieść.

— Bylibyśmy wpadli im w same łapy — szepnął Niemiec.

Patrol obcy ukazał się daleko, naprzeciw Polaków wyciągających psa z wody.

— Teraz — powiedział łysy i ruszył chyłkiem. Karaś najwyższym wysiłkiem woli poderwał się i poszedł za nim. Zasłonięci pagórkiem wyszli na wolną przestrzeń. Przed nimi czernił się las. Tamci coś wołali do Polaków, Polacy coś wołali do tamtych. Pies leżał na brzegu. Jeden z Wopistów pochylił się nad nim. Byli wystarczająco daleko, by nie słyszeć i nie zauważyć biegnących. Karaś był cały mokry, gdy wpadli w gęstwinę. Oddalił się od Niemca. Udawał, że rozpina spodnie. Oparł się twarzą o drzewo. Drzewo było wilgotne.

ROMAN ŁOBODA

(Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

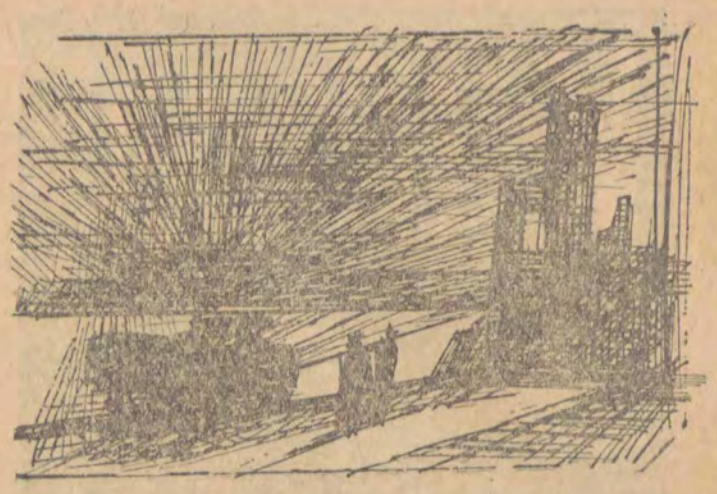

Dalszy ciąg ze str. 9

ci sąsiad zginie śmiercią głodową. Oni są głodni, bardzo głodni.

Obiad ciągnął się w nieskończoność. Przed oczyma Justyna migały dziesiątki półmisków, salaterek, waz, sosjerek, ale rzadko kiedy udawało mu się wyłowić kiszonego ogórka, kroplę tłustego sosu, czy chociażby kawałek marchwi.

— Gargantua pójdzie zaraz do siebie i wrąbie cztery kotlety, albo kociołek bigosu.

Justyn stracił już serce do olszyńskiego dworu.

— Ciekawe, skąd taki Dębicki czerpie siły? — zapytał.

— Hortensja go futruje. Przed każdą miłością dostaje winną polewkę, mocny rosołek i wszystko inne, co podnosi siłę tego, co ja wiem, a ty się może domyślasz reszta głoduje jak w obozie, więc sam widzisz, że tu jest jeszcze gorzej, bo robić nie ma co.

Wrócili do brudnego pokoju głodni i źli. Marek kopnął drzwi szafy.

— Nie ma już, Konradzie, ani kropli gorzały, a tu taki gość!

Konrad zauważył od niechcenia.

— Ty, Marku, mógłbyś bez najmniejszego trudu uzyskać wstęp do spiżarni.

— Justyn siedział markotny na żelaznym łóżku. Z czego się tu cieszyć? Hrabia przesunął Madam na krzesło numer trzy, może Madam nie wróci już do Zalesia? Owszem, należy do niego, ale ona ma krzesło numer trzy, Justyn, zaś — dwadzieścia i trzy. Duża odległość. Człowiek żałuje najwięcej wtedy, kiedy traci.

— Z Marka jest straszna świnia — Konrad przymknął oczy — Wilczek ma córkę, może zwróciłeś, Justynku, uwagę, krzesło numer osiem, siedziała obok Brenera, to taki baron galicyjski, ona niby jego narzeczona, ale sprzeda chętnie swoją cnotę Markowi i jeszcze dopłaci. Pomijając już kiepski gust hrabianki trzeba pamiętać, że to właśnie ona dzierży klucz od śpiżarni i piwnicy. Za jedną ich noc moglibyśmy mieć ze trzy nasze w towarzystwie szynki, kiełbachy i gąsiorka śliwowicy.

Marek uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nie ma spodni, nie ma pasa, diabli wzięli obertasa! Wolę już głód niż upokorzenie, a ty, Tyzenhauzie, masz sprzedajną żyłkę we krwi.

Justyn zapytał rzeczowo.

— Nie ma tu jakiej knajpy?

Konrad spuścił głowę.

— Dokuczasz nam, wiemy, że powinniśmy cię zaprosić, jesteś naszym drogim gościem, ale my cierpimy na nieustanne suchoty kieszonkowe. Za światło wiedzy, które roznosimy po tym ciemnym dworze, płaci nam hrabia tylko w naturze — zapałkami, karbidem do lampy, świecami, pastą do butów i zębów, mydłem a la glina, każe pokojówkom nasze portki łatać, ale pieniądze mamy tylko wtedy, jak Marek wygra z księdzem proboszczem w karty...

— Nie tłumacz się — przerwał mu Marek — on pytał czy tu jest knajpa, trzeba więc gościowi odpowiedzieć: jest knajpa, nawet całkiem niezła knajpa.

Justyn zerwał się z łóżka.

— Idziemy, panowie, ja mam pieniądze.

Marek roześmiał się szeroko i chwycił Justyna w ramiona.

— Widzisz, Konradzie, od razu ci mówiłem, że ten zalesiański pustelnik, wcale nie jest taki głupi, wygląd nie gra roli. Jezusie Nazareński, ostatni raz fundowali mi koledzy z Politechniki, ale to było przed wojną i pewnie nieprawda!

Dwór opuścili chyłkiem, Wilczkowie bardzo się gniewali, jeśli pałac bywał na wsi. Chodziło o pchły, bardzo podobno w tych stronach niebezpieczne, chodziło też o zachowanie dystansu, każdy musi wiedzieć, w którym miejscu kazała mu żyć opatrzność. Przyklejeni do muru, schylali się pod oknami i tak krok, za krokiem, zbliżali się do furtki, która prowadziła w inny świat. Dzień już zgasł, padał gęsty śnieg, trudno o lepszą porę. Przy bocznej furtce, już na progu dwóch światów, dworskiego i chłopskiego, spotkali jak na złość lokaja Tadzia.

— Panicze na dziewczynki?

Nie wiedzieli co odpowiedzieć. Justyn wsunął w dłoń Tadzia banknot, rozumując słusznie, że chociaż wiele dóbr straciło na wartości, milczenie zawsze zachowuje wysoką cenę.

— Może ja paniczom przyprowadzę? Pan Kmita zawsze jest ze mnie zadowolony.

— Poradzimy sobie, Tadziu — Marek skoczył za furtkę.

Knajpa „Pod Olchą" składała się z trzech pokoi. Jeden z nich, posiadał osobne wejście przez chlewik. Wejście zresztą niekłopotliwe, gorzej bywało natomiast w drodze powrotnej. Goście zamroczeni alkoholem, zasypiali co prawda spokojnie pośród świń, budzili się jednak z krzykiem i kwikiem. Ów osobny apartamencik przeznaczał właściciel interesu tylko dla wybranych klientów. Spędzali tu długie godziny partyzanci, łącznicy, niekiedy przychodzili dożywiać się panowie ze dworu, wpadali dostawcy spirytusu, bimbru i słoniny, kilka wesołych dziewcząt umilało najzamożniejszym rzadkie chwile wypoczynku. Pokoik należało wcześniej zamawiać, trzej przyjaciele mieli jednak szczęście, pokoik był wolny.

Marek rozłożył się na kanapce.

— Lubię takie improwizacje, jak się coś, na przykład, z góry układa, zawsze wychodzi nie tak, albo wcale nie wychodzi.

— Gdzie tu jest służba? — Justyn przejmował rolę fundatora.

— Panie Mucha! — ryknął Marek — co jest z panem, do jasnej cholery!

Właściciel wszedł do pokoju prawie natychmiast, Studnickiego i Tyzenhauza powitał uniżenie, jakby znał na pamięć herbarz polski. Justyn doznał uczucia zazdrości. Ostatecznie i on nie jest przecież człowiekiem minorum gentium, jacyś tam dziadkowie, jak mówiła stara ciotka, coś tam kiedyś, gdzieś, posiadali. Mucha zaraz się przekona z kim ma do czynienia.

— No, drogi panie Mucha, pan nam poda litr dobrej wódki, dobrej, powiedziałem, bimberek, gorzelanka nie wchodzą w grę. Do tego grzybki marynowane, mogą też być ogóreczki, koniecznie kiełbasa i mięso, wołowe mięso, chude proszę pana, ewentualnie dziczyzna z tutejszych lasów. I tak, drogi panie Mucha: wódka zimna, kiełbasa gorąca, mięso jak pan chce, jak zawsze byłem za wolnością a wszystko szybko, bardzo szybko, panie Mucha.

Marek poklepał Justyna po plecach.

— Całkiem nieźle, jak na początek, wyrobisz się w naszym towarzystwie, nie chcę cię komplementować, ale to widać.

Konrad żachnął się.

— Głupio mi trochę, naciągamy cię, zamiast sami stawiać, musisz wiedzieć, że Tyzenhauzom nie stawia się wódki, oni stawiają.

— Baw się w Tyzenhauza póki czas, wypisz Justynkowi kwit na twoje litewskie dobra, a śpiesz się, Tyzenhauzie, śpiesz, bo za rok, albo mniej nie będzie już Tyzenhauzów.

d. c. n.

JÓZEF KĄDZIELSKI

Telewizja a kultura współczesna (III)

TELEWIZJA w życiu RODZINNYM

Telewizja podobnie jak wszystkie środki kultury masowej posiada charakter domowy, czyli nie wymaga ona, w odróżnieniu od kina i teatru, tworzenia specjalnych audytoriów, wchodzenia w nowe styczności społeczne itd., co ma ważne znaczenie dla jej popularności. Pojawienie się telewizora w domu wywołuje głębokie zmiany w życiu rodzinnym. Widać to na przykładzie potocznych obserwacji oraz badań socjologicznych przeprowadzonych dotąd w Polsce. W oparciu o nie można wyróżnić dwa okresy w rozwoju telewizji i wpływie jej na życie rodzinne.

1. Okres pierwszy rozpoczyna się wraz z pojawieniem się telewizji, kiedy telewizor jest nowym i atrakcyjnym środkiem dla wszystkich, a jednocześnie niedostępnym w skali masowej. Znajduje się on jedynie w różnych instytucjach społeczno-kulturalnych i niektórych rodzinach o specjalnych kontaktach i zamożności. W takiej sytuacji następuje ożywienie życia kulturalnego i społecznego: odbiorcy zapełniają sale w owych instytucjach społeczno-kulturalnych, odwiedzają się znajomi, sąsiedzi i rodzina. Następuje w pewnym sensie wzmocnienie więzi społecznych.

2. Okres drugi rozpoczyna się wraz z rozpowszechnianiem się telewizji w skali masowej, kiedy aparaty stają się dostępne szerokim kręgom ludzi o różnej przynależności społeczno-zawodowej i poziomie kulturalnym. Żadnej ścisłej granicy nie można wyznaczyć dla tego okresu; w różnych środowiskach społecznych i lokalnych nie przebiega on jednocześnie, ale występuje niewątpliwie i posiada swoje właściwości. W okresie tym pustoszeją sale instytucji społeczno-kulturalnych, zmniejsza się ilość kontaktów koleżeńsko-sąsiedzko-rodzinnych; słabną wytworzone przedtem więzi społeczne. odbiorcami programu stają się rodziny. W tej nowej sytuacji one także zmieniają się przekształcając się w audytoria, których członkowie samodzielnie odbierają i dobierają sobie audycje. W sumie jednak coraz mniej czasu znajduje się na dyskusje o programie, obejrzanych audycjach, ponieważ znów są nowe audycje, a jeżeli są wolne chwile to o innych sprawach też trzeba porozmawiać.

Program telewizji staje się regulatorem życia rodzinnego i w pewnym stopniu, także życia pozarodzinnego. Konsekwencje widoczne są we wszystkich dziedzinach: organizacji prac domowych, kontaktów rodzinno-sąsiedzko-towarzyskich, wychowaniu dzieci, korzystaniu z istniejących dotychczas środków i instytucji kulturalnych oraz w innych dziedzinach. W celu ilościowego uchwycenia niektórych z tych zmian, przede wszystkim uświadamianych sobie przez teleabonentów, w kwestionariuszu przeprowadzonym w Łodzi zamieszczono pytanie: „Czy pod wpływem telewizji nastąpiły jakieś zmiany w Pana (i) życiu rodzinnym?". Na ogólną ilość 142 teleabonentów, lub członków ich rodzin, którzy znaleźli się w próbce losowej — 55 odpowiedziało, że zmiany takie nastąpiły. Na rodzaj tych zmian wskazuje poniższe zestawienie i luźne wypowiedzi.

TELEWIZJA A ZMIANY W ŻYCIU RODZINNYM

Rodzaje zmian	*Teleabonenci N = 55*
Zwiększyła się ilość wolnego czasu kosztem innych zajęć w domu i poza domem	32,7%
Zmniejszyła się ilość czasu przeznaczonego na sen i wypoczynek	23,7%
Zmieniły się warunki nauki i wychowania dzieci	21,8%
Nastąpił wzrost kontaktów sąsiedzko-rodzinno-towarzyskich	20,0%
Wystąpiły kłopoty finansowe i mieszkaniowe	9,1%
Zmniejszyło się korzystanie z kina	5,5%
Zwiększyła się ilość wiadomości o świecie	3,6%

Największa część odpowiadających, zwracała uwagę na zwiększenie ilości czasu przeznaczonego na korzystanie z telewizji kosztem innych zajęć w domu i poza domem. Oto niektóre autentyczne wypowiedzi: „Zmiana w rozkładzie dnia". „Mniej czasu na pracę w domu". „Nie można wszystkiego w domu zrobić". „Telewizja zajmuje więcej czasu. Człowiek śpieszy się w ciągu dnia, wykonuje wiele czynności, aby wieczorem oglądać program". „Więcej bałaganu, ale i więcej rozrywek". „Mniej czasu przebywam poza domem".

Na drugim miejscu wymieniono, że telewizor jest środkiem zabierającym czas przeznaczony na wypoczynek: „Mniej czasu na wypoczynek" — odpowiadano.

Na uwagę zasługuje badanie przeprowadzone przez mgr J. Komorowską w jednym z podwarszawskich miasteczek przemysłowych. Chociaż nie jest ono zbyt rygorystyczne, to jednak wyniki uzyskane w nim wskazują na ważne problemy społeczne.

Autorka ze względu na charakter ról społecznych w grupie rodzinnej, określających m. in. funkcję rodziców i dzieci, wydzieliła trzy typy rodzin: 1. tradycyjną rodzinę miejską: ojciec pracuje i jest głową rodziny, matka nie pracuje w żadnym przedsiębiorstwie i zajmuje się domem, mężem i dziećmi; dzieci nie posiadają obowiązków w rodzinie poza przestrzeganiem posłuszeństwa dla starszych i otrzymywaniem dobrych ocen; 2. nowoczesną rodzinę miejską: ojciec i matka pracują i dzielą się obowiązkami w prowadzeniu domu i wychowywaniu dzieci; jednym z elementów wychowania jest udział dzieci w pracach domowych i kłopotach rodzinnych; 3. rodzinę odchylającą się od normy, znajdującą się na rozdrożu, zdezorganizowaną z konfliktami między rodzicami oraz rodzicami i dziećmi, z konfliktami między rodziną i sąsiadami; u podłoża tych konfliktów znajdują się odrębne wzory zachowań współmałżonków i ich wzajemne nieprzystosowanie. W zależności od typu rodziny pod wpływem telewizji nastąpiły inne zmiany w zajęciach dzieci.

W rodzinach pierwszego typu od samego początku wprowadza się regulację oglądania programu; w dwóch następnych w pierwszych miesiącach następuje dezorganizacja zajęć i obniżenie stopni w nauce. W rodzinach nowoczesnych groźba ocen niedostatecznych zmusza rodziców do regulacji programu; w krótkim okresie wyniki dzieci w nauce osiągają poprzedni poziom; w rodzinach zdezorganizowanych wpływ telewizji na oceny w nauce jest trwalszy.

Pojawienie się w domu telewizora wpływa nie tylko na intensyfikacje prac, o czym pisaliśmy powyżej, ale także na intensyfikację w odrabianiu lekcji przez dzieci, co przyczynia się do zwiększenia ilości wolnego czasu, który w większości wypadków pochłania jednak telewizja. Zdaniem autorki intensyfikacja ta nie powoduje w większości wypadków stałych ujemnych skutków w nauce.

Telewizor prowadzi do pewnego zrównania w zajęciach domowych chłopców i dziewcząt. Zjawisko to występuje wyraźniej w rodzinach nowoczesnych, gdzie ojciec organizuje prace gospodarskie. Najsłabiej zjawisko to występuje w rodzinach zdezorganizowanych, w których chłopcy w większym stopniu niż dziewczęta uchylają się od wszelkich prac domowych.

W pierwszym okresie po nabyciu telewizora w rodzinie zmniejszeniu ulegają kontakty i rozmowy, chociaż zależnie od typu w różnym stopniu: w większym w rodzinach zdezorganizowanych i tradycyjnych niż nowoczesnych. W ostatnim typie rodzice i dzieci początkowo wspólnie oglądają program i rozmawiają o nim; w późniejszym okresie następuje większa selekcja programu i słabną kontakty. W rodzinach wielopokoleniowych wspólne przeżycia przed telewizorem zbliżają wnuczków do dziadków.

Zabawy na wolnym powietrzu ulegają poważnemu ograniczeniu w pierwszym okresie po nabyciu telewizora, różnice występują w zależności od wieku dziecka i typu rodziny. Jednak wpływ telewizji w tym zakresie nie jest tak znaczny, jak w okresie zabaw podejmowanych w domu; te ulegają poważnej redukcji. Zjawisko to występuje szczególnie w rodzinach zdezorganizowanych, w których telewizja jest nowym środkiem ucieczki dziecka od trosk i konfliktów rodzinnych.

We wszystkich rodzinach telewizja wpływa na charakter zabaw dzieci; dostarczając im nowych form wyrazu dla dotychczasowych treści oraz wielu informacji natury technicznej, np. stroju kowboja, techniki pojedynków, reguł gry w piłkę itd. W tym wypadku występuje ona w roli konkurenta w stosunku do istniejących dotychczas rodzajów informacji: kontaktów z dorosłymi, filmów i książek.

Program telewizji dostarcza tematów do nowych zabaw o charakterze indywidualnym i zespołowym i powoduje zmiany w zajęciach amatorskich. „Zakup telewizora — pisze autorka — to nieledwie wyrok zagłady dla indywidualnych zajęć amatorskich dziecka w domu. W tej sytuacji dzieci swoje amatorskie zainteresowania przeproszą na teren szkoły". W jakiej mierze zjawisko to zależy od typu rodziny nie zostało stwierdzone.

Na podstawie przedstawionych materiałów, jakkolwiek są one fragmentaryczne, można stwierdzić duży i wielostronny wpływ telewizji na życie rodzinne i wychowanie dzieci, kontakty wewnątrzrodzinne oraz rodzinno-sąsiedzkie i koleżeńskie, występujące zarówno między starszym i młodszym pokoleniem, jak i w obrębie tych pokoleń. Oczywiście, wpływ telewizji przejawia się nie tylko w wymienionym zakresie. Zmiany w życiu rodzinnym jak zaznaczyliśmy powyżej mają swoje konsekwencje w zakresie korzystania z dotychczasowych środków kultury masowej i instytucji kulturalnych. Napiszemy o tym w następnym artykule.

TELEwizja

REFLEKSJE NIEDZIELNE

Niedziela jest jak wiadomo po to, aby człowiek mógł sobie odpocząć po sześciu dniach pracy, odetchnąć, rozerwać się kulturalnie, obejrzeć telewizję... Tu — stop. Wiadomo bowiem dobrze wszystkim telewidzom (gdyż odczuwają to na własnej skórze, czasem dotkliwie), że niedziela w telewizji jest często najnudniejsza, prezentuje (nie zawsze ale zbyt często) najsłabszy program telewizyjny ze wszystkich siedmiu dni tygodnia.

Wystarczy przejrzeć programy niedzielne w ostatnim kwartale, aby stwierdzić czarno na białym — ile było telerekordingów, wznowień i powtórzeń, jak w sumie mocno nieciekawie przedstawia się profil telewizyjnej niedzieli. Nawet film — ta podstawa programu i rekompensata dla telewidzów — nie zawsze figurował w rejestrze niedzielnym.

A przecież powinno być odwrotnie, z prostej przyczyny, że dla wielu tysięcy ludzi niedziela stanowi ten upragniony odpoczynek, czas wolny, który można sobie spokojnie, w domowych pieleszach, wykorzystać na tzw. „rozrywkę kulturalną".

W dziale audycji rozrywkowych dominuje ten typ, który nazwałbym monumentalnym. Klasycznym przykładem może być koncert rozrywkowy, jaki emitowała telewizja w ostatnią niedzielę. Długi koncert — dwugodzinny, orkiestra Henryka Debicha, Bogna Sokorska, Bogdan Paprocki w pierwszej części, zaś w drugiej popularni piosenkarze: Katarzyna Bovery, Helena Majdaniec, Tadeusz Woźniakowski — czyli inaczej: gwarantowana rozrywka na najwyższym poziomie. No, a w dodatku zapowiadała sama Irena Dziedzic — więc telewidzowie powinni czuć się ze wszech miar usatysfakcjonowani.

Czy jednak mogli się poczuć usatysfakcjonowani? Czy monumentalny koncert rozrywkowy z udziałem znanych gwiazd i sław, został przystosowany do wymogów telewizyjnej percepcji? — A więc: czy posiadał rozmach, dynamikę, dawał odbiorcy wizualną satysfakcję? Dwie godziny takiego koncertu powinny wyglądać w telewizji tak, jak czterogodzinna „Kleopatra" z Elizabeth Taylor w kinie panoramicznym.

Z zasady już, wszelkie „duże" koncerty rozrywkowe u nas nie wychodzą. Wypadają — owszem — bardzo radiowo. Debich ma rzeczywiście doskonałą orkiestrę więc koncerty są do słuchania, a nie do oglądania. Zresztą, transmituje je również radio, i — tak przynajmniej sądzę — najpierw są dla radia, a później dopiero dla telewizji, chociaż znowu powinno być odwrotnie. Na przykład — galowe koncerty telewizyjne emitowane przez Interwizję z NRD — zawsze były i do słuchania i do patrzenia. Są po prostu bogate z telewizyjnego punktu widzenia. Nasze natomiast, choć mamy świetnych wykonawców są statyczne, mało barwne, rzec by się chciało bez akcji, przerywników, ruchu. Wydaje się, że kwitując z uznaniem rzetelny wysiłek wykonawców, można zauważyć, że ze stroną telewizyjną jest jeszcze kiepsko.

KOWALSKI

HALINA KIJOWSKA

„TRANZYT"

Udany spektakl zaprezentował nam Teatr Popularny TV łódzkiej. Był to „Tranzyt" w/g Anny Seghers w reżyserii T. Worontkiewicza (adaptacja Edwarda Szustra). Mały hotelik w Marsylii jest świadkiem dramatycznych przeżyć grupki emigrantów niemieckich, uciekających przed prześladowaniami Hitlera. Niepewność, strach, pragnienie ucieczki za wszelką cenę, oto atmosfera, w której żyją bohaterowie „Tranzytu". Wobec piekła czekania i nadziei wyjazdu, nie ważna jest przyjaźń czy miłość. Nie ma żadnej innej wartości, poza wartością biletu na statek.

Worontkiewicz stworzył widowisko mięsiste, zwarte, wysokiej klasy. Perypetie głównego bohatera — narratora, splecione z losami pozostałych postaci, śledziliśmy z nieustającym zainteresowaniem, prawie wcale nie czując „literackości", tak groźnej przy okazji wielu adaptacji. „Tranzyt" stał się widowiskiem typowo telewizyjnym, przemyślanym, inteligentnie przeprowadzonym. Zachwycała J. Siennicka, której Maria była kobietą zmęczoną, porażoną wypadkami, na które nigdy nie była przygotowana. Siennicka ukazała całą wrażliwość, impulsywność, uczuciowość i bezradność tej kobiety, zdecydowanej tylko na jedno — ucieczkę gdziekolwiek, z człowiekiem, którego kocha. Jej głos, jej twarz — stały się znakomitym tworzywem z którego Siennicka uczyniła obraz prawdziwej, głęboko czującej, wrażliwej kobiety. Tą rolę długo będziemy pamiętać. Również znakomicie wywiązał się z trudnej roli Narratora, Bogusław Sochnacki. Interesujące postacie stworzyli także pozostali wykonawcy. Zwłaszcza J. Kłosiński i Pilarski. Nie było złej gry, nawet w najmniejszych epizodach. „Tranzyt", zamykający ten „teatralny" tydzień, był zdecydowanie ambitnym, mocnym akcentem, zdolnym chyba przekonać najbardziej skwaśniałych malkontentów, kraczących nad losami teatru telewizyjnego.

CO w terenie?

Ani w Lipce, ani w pobliskim Niesułkowie (pow. Brzeziny) nie było dotąd świetlicy. Mimo że z roku na rok coraz bardziej odczuwano jej brak, nikt jakoś nie próbował zmienić tej sytuacji... Dopiero w grudniu ubiegłego roku — ruszyło! Grupka młodych ludzi własnymi rękami i bez niczyjej pomocy postanowiła adaptować na świetlicę stary barak na górce w Niesułkowie. Nawet w te najgorsze mrozy robota nie ustawała. Trzeba było łatać dach, ściany i podłogę. Całą tą upartą akcją kieruje Józef Goncarz, kierownik grupy zdjęciowej Studia Miniatur Filmowych w Łodzi. To właśnie on „zbuntował" młodzież i razem z nią wszystkie wolne chwile spędza przy remoncie świetlicy. Okazało się, że w baraku znalazło się miejsce na piękną salkę widowiskową (pan Goncarz jest również reżyserem teatrzyku amatorskiego), powstanie też sala gier i czytelnia-kawiarnia. Nie ma wprawdzie jeszcze krzeseł i stolików, nie ma dotąd żadnej pomocy ani zainteresowania ze strony miejscowych władz, ale to ZMW-owców z Lipki i Niesułkowa nie zraża. Jak tylko odtaje lód na podłodze sali widowiskowej — zaczynają próby sytuacyjne do sztuki przygotowywanej na Festiwal Teatrów Amatorskich...

●

„Gorąco" się raptem zrobiło wokół amatorskiego ruchu artystycznego. Chyba nigdy dotąd nie było tylu naraz możliwości zmierzenia sił zespołów, jak w tym roku: Konkurs Recytatorski, Festiwal Zespołów Teatralnych, przegląd teatrów poezji i teatrów mniejszości narodowych, IV Łódzki Festiwal Zespołów Chóralnych, Konkurs Orkiestr Dętych Ochotniczych Straży Pożarnych, konkurs wykonawców piosenek radzieckich. Do ogłoszonych już imprez dołączamy dziś jeszcze jedną. W ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Młodzieży Miast i Wsi – Komitet Wojewódzki ZMS wspólnie z Wydziałem Kultury PWRN ogłosiły konkurs zespołów estradowych i solistów z repertuarem współczesnym. Do udziału w konkursie mogą przystąpić instrumentalne zespoły rozrywkowe muzyki tanecznej i jazzowej, małe zespoły wokalne, piosenkarze-soliści, zespoły harmonijek ustnych oraz małe estradowe zespoły taneczne i soliści. Eliminacje I stopnia zaczynają się już w kwietniu!

●

Do Skierniewic przyjeżdża na gościnne występy Cyrk „Gdańsk", który zaprezentuje się w dniach 6. IV. — 10. IV. br. W programie: tresura mieszana, ekwilibryści (chińscy), akrobaci, parodyści, handwoltyż, żonglerzy oraz tresura lwów, koni i tygrysów. Okazja dla cyrkomanów!

●

Pod znakiem wielu uroczystych akcentów przebiegał w tym roku Międzynarodowy Dzień Teatru na terenie naszego województwa. W odświętnie udekorowanych salach świetlic, domów kultury i klubów odbyły się liczne wieczornice, odczyty i spotkania z ludźmi teatru. W Tomaszowie, Pabianicach, Kutnie, Radomsku i Zadzimiu (pow. Poddębice) społeczeństwo i miejscowe władze zgotowały zespołom występujących tam teatrów serdeczne i gorące przyjęcie.

●

Z okazji zbliżających się Dni Oświaty, Książki i Prasy — Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" wystąpiło z cenną inicjatywą zorganizowania na wzór Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi, podobnych klubów we wsiach województwa łódzkiego. W bieżącym roku przewiduje się założenie 10 takich klubów. Będą one jednocześnie pełniły funkcje placówek kulturalno-oświatowych. „Ruch" zapewnia im pełne wyposażenie i utrzymanie. Pozostaje tylko przyklasnąć. To się nazywa, „Ruch" w interesie społecznym!

HOBBYŚCI WĄSKIEJ TAŚMY

Pod takim tytułem LOT przedstawił program publicystyczny w dniu 29 marca. Tematem była działalność Amatorskiego Klubu Filmowego przy Łódzkim Domu Kultury. No cóż, gdyby audycja ta była nadawana w programie ogólnopolskim na pewno zmuszeni bylibyśmy płacić peany na jej cześć (ale na szerokim forum ŁOT potrafi się pokazać z najlepszej strony), ale niestety „Hobbystów" pokazywano tylko w programie lokalnym. Audycja miała więc taki przebieg. Najpierw wstawka filmowa i chaotyczna rozmowa na jej temat w trakcie wyświetlania. Potem na ekranie pojawiła się ładna młoda kobieta na pierwszym planie, zaś na drugim kilku osobników płci odmiennej. Jeden z nich wyjaśnił, że zebrani przed kamerami są członkami AKF przy ŁDK (jak się okazało był to prowadzący program Jan Butkiewicz, który do końca audycji występował w cieniu siedzącej przed nim dziewczyny: ta natomiast nie zabrała ani razu głosu). Gdy któryś z członków AKF wyjaśniał ten skrót, nagle zniknęła wizja i z odbiornika wydobywał się tylko głos. Myślałem, że nawalił telewizor, ale pokazała się plansza z napisem „Telewizja Łódź". Po chwili rozległ się głos spikera: — „Przepraszamy za awarię, za momencik wznowimy program". Minął „momencik" i audycja zaczęła się jeszcze raz od początku. I co się okazało? Otóż zarówno prowadzący program jak i dyskutanci z AKF potrafili ze zdumiewającą dokładnością powtórzyć to co powiedzieli przed paroma minutami. Wszystko zgadzało się słowo w słowo. Mimo wszystko współczułem hobbystom wąskiej taśmy, których występ w telewizji uwarunkowany został wkuciem na pamięć wygłaszanych później kwestii. Oczywiście trzeba sobie od razu powiedzieć, że nie jest to jakiś wyjątkowy wypadek w naszej publicystyce telewizyjnej. Ale tym razem chyba wyraźnie przesadzono. W dalszej części audycji pokazano jeszcze fragmenty z trzech (nb. dość ciekawych) filmów amatorskich. Dlatego właśnie oglądałem ten program do końca. Między pokazaniem jednego a drugiego filmu toczyły się jakieś mało skoordynowane rozmowy na temat filmowców-amatorów. Prowadzący audycję Jan Butkiewicz (który również opracował cały program) zadawał członkom AKF odkrywcze i wnikliwe pytania, których ukoronowaniem było — „Co was pcha do tego Klubu?" Wyrwana do odpowiedzi jedna z uczestniczek programu wybąkała — „Dlatego, że mi się to podoba i to lubię". Nie wiem czy ton zażenowania brzmiący w tym zdaniu należało przypisać niedostatecznie wyuczonej odpowiedzi, czy może banalnie już stereotypowemu pytaniu p. Butkiewicza. Wreszcie audycja dobiegła końca. Ciekawe jak długo jeszcze będziemy skazani na oglądanie podobnych programów publicystycznych.

TADEUSZ WIĄCEK

Blaski i cienie europeizacji

Rzeczy to stare jak świat, a ciągle o nich trzeba pisać. Wydawało się już, że w sprawach tzw. kultury życia codziennego nastąpiła zdecydowana zmiana na lepsze. Ostatnio jednak coraz częściej przekonujemy się, iż ulegliśmy radosnym złudzeniom. Bo gdzie się, na przykład, podziały te sympatyczne napisy wyświetlane przed seansem filmowym „Serdecznie witamy w naszym kinie?" Bo takim samym jak niegdyś popytam cieszą się baśnie o uprzejmym kelnerze. Zniknęli też gdzieś uprzejmi szatniarze podający paniom płaszcze i wyrażający odchodzącym gościom „swoje uszanowanie". Ich miejsce zajęli ludzie, którzy raczej zniechęcają do wejścia w restauracyjne progi (exemplum „Delfin"), i którzy z grymasem prawie obrzydzenia ciskają nasze wierzchnie okrycia na ladę. Widuje się też gdzieniegdzie ekspedientki — królowe (szukaj ich w Komisach). Czyli pojawiły się znowu egzemplarze gatunku, który uważaliśmy za bezpłodnie wymarły. I to wszystko należy do tych ciemnych stron rzeczonej w tytule europeizacji. Bo są oczywiście i blaski. Nawet, jak na nasz gust, zbyt jaskrawe. A przykładem niech będą choćby reklamówki wyświetlane w kinach przed kroniką, upiorne zarówno w doborze kolorów, jak i graficznej formie. Wśród nich zauważyliśmy ostatnio świadectwa działalności Głównego Komitetu Przeciwalkoholowego. Jedno z haseł brzmi: „Można w święto wódkę pić — tylko za co potem żyć". Mimo intelektualnych treści i kunsztownej formy oraz braku w nas skłonności do nałogowego alkoholizowania się, hasło jakoś nas nie przekonuje. A może, skoro tyle o koegzystencji mówimy, trochę się poduczyć u lepszych od nas w tej dziedzinie?

(maw)

ODGŁOSY tygodnia

W Łodzi także przywrócono do życia

Dwudziestego marca prasa doniosła o ożywieniu po czterech i pół minuty śmierci klinicznej dwudziestosiedmioletniej pacjentki szpitala w Siemianowicach Śląskich. Podobnego „cudu" dokonano także w Łodzi 11 lutego br. w Szpitalu Dziecięcym im. Korczaka. U przebywającej tam na leczeniu w związku z ropniakiem opłucnej dwu i półletniej dziewczynki, Lucynki F., nastąpiło nagle pęknięcie pęcherzyków płucnych połączone z zapadnięciem się całego płuca i przerwaniem czynności oddychania. W chwilę później ustała akcja serca. W tej sytuacji dr Romuald Wojtasik, chirurg szpitala, zdecydował się na natychmiastowy zabieg operacyjny. Przy współudziale podającego narkozę dr Janusza Korżyka otworzył klatkę piersiową dziecka, wydobył serce i rozpoczął jego masaż. Po dwudziestu pięciu sekundach masowany mięsień sercowy rozpoczął swą normalną czynność. Wzmocniono go jeszcze bezpośrednim zastrzykiem wapnia.

Kliniczna śmierć dziewczynki, tj. okres czasu od chwili ustania akcji serca do ponownego jej rozpoczęcia, trwała 3 minuty i 25 sekund.

Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek w długoletniej tradycji Szpitala im. Korczaka (dawniej Anny Marii). Lucynka F. czuje się dobrze. Jedynym śladem śmierci i powrotu do życia pozostała tylko blizna.

SZPITALNE WARIACJE

Określenie „wariacje" jest tu o tyle na miejscu, że chodzi o Szpital im. W. Babińskiego czyli o tzw. popularnie „Kochanówkę".

W swoim czasie zdarzyła się tam dość zabawna historia świadcząca o dużym sprycie jednego z pensjonariuszy, nota bene, pacjenta „Odwykówki" czyli oddziału alkoholowego. Pacjenta odwiedził kolega.

Ponieważ panowie zapragnęli odwiedziny uczcić czymś mocniejszym niż przywieziony przez kolegę sikacz — kiedy w butelce ukazało się dno — dobry kolega zaofiarował swoje finanse na ów zbożny cel, wyznając wszakże, iż jako przybyły nie zna okolicznych melin.

Pacjent, a więc czyniący honory domu, wyraził koledze duże uznanie z powodu tego gestu, i jako „miejscowy" postanowił pofatygować się po spirytualia. Ponieważ jednak trudno byłoby po przeskoczeniu płotu paradować ulicą w szpitalnej piżamce — panowie zamienili się ubraniami...

Wieczorem, stróż kontrolujący teren szpitala zauważył w krzakach trzęsącego się z zimna człowieka w piżamie... „Panie — zawołał — jazda na oddział". Na dość mętne wyjaśnienia — oczywiście nie reagował. Dopiero na oddziale okazało się, że tego pana jako żywo, mimo szpitalnego uniformu nikt sobie tu nie przypomina... Jednocześnie doliczono się małego manka w jednej z sal.

Dobrotliwy a łatwowierny kolega nie pożegnał się jednak tak szybko z państwowym wiktem i opierunkiem. Odpowiadał bowiem przed sądem za ułatwienie ucieczki pacjentowi, skierowanemu na przymusowe leczenie.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

IZABELLA PIEŃKOWSKA — studia wyższe zaczęła w Politechnice Krakowskiej, ale zrezygnowała z nich i... po Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi (1961 r.) została zaangażowana do Teatru 7.15. Pamiętamy ją ze sztuk „Grunt to rodzinka" Jurandota, „Komedia omyłek" Szekspira (rola Lucjany) i z „Oczka opaczności". W obecnym sezonie podobała się nam w pełnej dynamiki roli Lucynki w „Pasztecie jakich mało" oraz jako Kamilla w „Romansie z wodewilu".

P. Izabella ma na swoim koncie udział w dwóch „Kobrach" oraz w telewizyjnej „Muzyce łatwej, lekkiej i przyjemnej". Należałoby również wspomnieć, że stale i niezmiennie kreuje rolę Dyrektorowej w kabarecie „Wspak".

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

Niesmacznie w „Smakoszu"

Poniższy obrazek miał miejsce w barze mlecznym „Smakosz". Pora obiadowa. Prawie wszystkie stoliki zajęte. Po sali krąży kobieta w średnim wieku i zbiera talerze pozostawione przez konsumentów. Brak obowiązującego białego fartucha wskazuje, że nie jest to pracownica tego baru. W prawej ręce trzyma brudną ścierkę, którą wyciera stoliki „przed nosem" jedzących. Poniektórzy momentalnie tracą apetyt i opuszczają bar. Wtedy kobieta ze ścierką zabiera zostawione przez nich talerze z resztą jedzenia i kieruje się w stronę okienka, gdzie konsumenci proszeni są o oddawanie naczyń. Przed okienkiem wyciąga ze swej torby kawałki papieru i łyżką zgarnia na nie zawartość talerzy. Na to wszystko zmuszeni są patrzeć konsumenci stojący w kolejce po posiłek. Kobieta ze ścierką wkłada swoje „pakunki" do torby, rozsiada się przy jednym ze stolików i pilnie wypatruje, gdzie pozostał jakiś talerz z resztkami. Jeden z jedzących nie wytrzymuje i pyta przy okienku, kto z personelu baru ma obowiązek sprzątać ze stołów. Wreszcie odnajduje tę pracownicę i zwraca jej uwagę na uwijającą się po sali kobietę z brudną ścierką. Pada odpowiedź — „A cóż mnie to obchodzi. Przecież klienci mogą i powinni nawet odnosić naczynia. A że robi to jedna z konsumentek to nam nie przeszkadza". Załamany tym argumentem konsument nie wraca już do stolika z pozostawionym posiłkiem, lecz szybko opuszcza bar. Odprowadza go nienawistne spojrzenie kobiety zbierającej resztki jedzenia do torby.

Nie wiemy czy podobne wypadki mają miejsce i w innych barach mlecznych naszego miasta. Wydaje się jednak, że zdarzają się nie tylko w „Smakoszu". Stąd wniosek, by kierownicy barów mlecznych zwracali większą uwagę na podstawowe warunki higienicznego spożywania posiłków.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 1038. IV. 63. K-4

GAUDEAMUS?

Smutne to trochę, ale prawdziwe: coraz mniej studentów mamy w Łodzi. Jeszcze w roku 1951 studiowało u nas 13.806 osób, w roku 1958 już tylko — 9.271 osób. Spadek, zresztą już niewielki, nastąpił i w ostatnich latach.

Tymczasem pilne potrzeby miasta i regionu wymagają jak największej liczby dobrze wykształconych specjalistów. W 1980 roku musimy, po prostu — musimy, kształcić na naszych wyższych uczelniach 21.5 tys. studentów i jeszcze 8 tys. zaocznie, inaczej będzie klapa z kadrami.

Nie wystarczy, rzecz prosta, zwiększyć liczbę studiujących, czy otworzyć użyteczne społecznie katedry. Trzeba jeszcze podnieść sprawność samego nauczania. Kiepsko ta sprawność wygląda i w kraju i w Łodzi. Ostatnio powinni uzyskiwać dyplomy studenci, którzy rozpoczęli naukę w roku akademickim 1955-56. Dyplomy uzyskało w przewidzianym czasie tylko 51 proc., ale w Politechnice Łódzkiej tylko 17,3 proc. Jeżeli doliczyć tych, którzy spóźnili się o rok będzie razem najwyżej 20 procent. Na takich wydziałach jak mechaniczny, czy chemii spożywczej ani jeden, dosłownie ani jeden student, nie ukończył studiów w odpowiednim czasie.

Jeśli chodzi o Uniwersytet Łódzki, to i tu sytuacja przedstawia się rozmaicie. Na wydziale prawa ukończyło studia normalnie tylko 16,2 proc. młodzieży, na historii tylko — 40%. Więcej natomiast pasji i chęci do nauki wykazali studenci wydziału Biologii i Nauki o Ziemi, gdyż 85,5 proc. kończy tam naukę w czasie, podobnie poloniści — 70 proc., czy ekonomiści — 61 proc.

Kłopotów nie brak i w Akademii Medycznej. Tylko 36,6 proc. studentów stomatologii i 34,9 proc. przyszłych farmaceutów kończy studia zgodnie z życzeniem resortowego ministra, panów rektorów i wszystkich pracowników naukowych. Wymieniamy ich, gdyż sądzimy, że od polepszenia pracy dydaktycznej w wyższych uczelniach także bardzo wiele zależy. Nie tylko przecież od studentów.

Sprawom naszych wyższych uczelni poświęcone było ostatnie Plenum KŁ PZPR. „Odgłosy tygodnia" nie mogą szerzej omówić tego problemu, ale może pozostała reszta pisma wykaże odpowiednie zainteresowanie nauczaniem na poziomie wyższym.

GDZIE MA BYĆ GŁOWA?

Jakiś czas w operetce Stanisława Książka w Łodzi dyrygował orkiestrą gościnnie tu przyjeżdżający dyr. Jakesz. Kiedyś na próbie Książek miał za złe Jakeszowi, że dyryguje z pamięci nie zaglądając do partytury. Jakesz odpowiedział na to: Uważam, że powinienem partyturę mieć w głowie, a nie głowę w partyturze.

NAPOLEON

Wiadomo, że wszyscy artyści operowi i operetkowi są o sobie jak najlepszego mniemania.

Na gościnne występy do operetki Stanisława Książka przyjechali Wiktoria Kawecka i Napoleon Szczawiński. Podczas próby z operetki „Wiktoria i jej huzar" ówczesny dyrygent Laskowski zwrócił uwagę Szczawińskiemu, że w pewnym miejscu niezupełnie właściwie wykonuje swą partię. Podrażniony Szczawiński odpowiedział dumnie: Panie dyrektorze — śpiewałem królów, cesarzy, i książąt krwi. To chyba i głupiego huzara potrafię odśpiewać.